

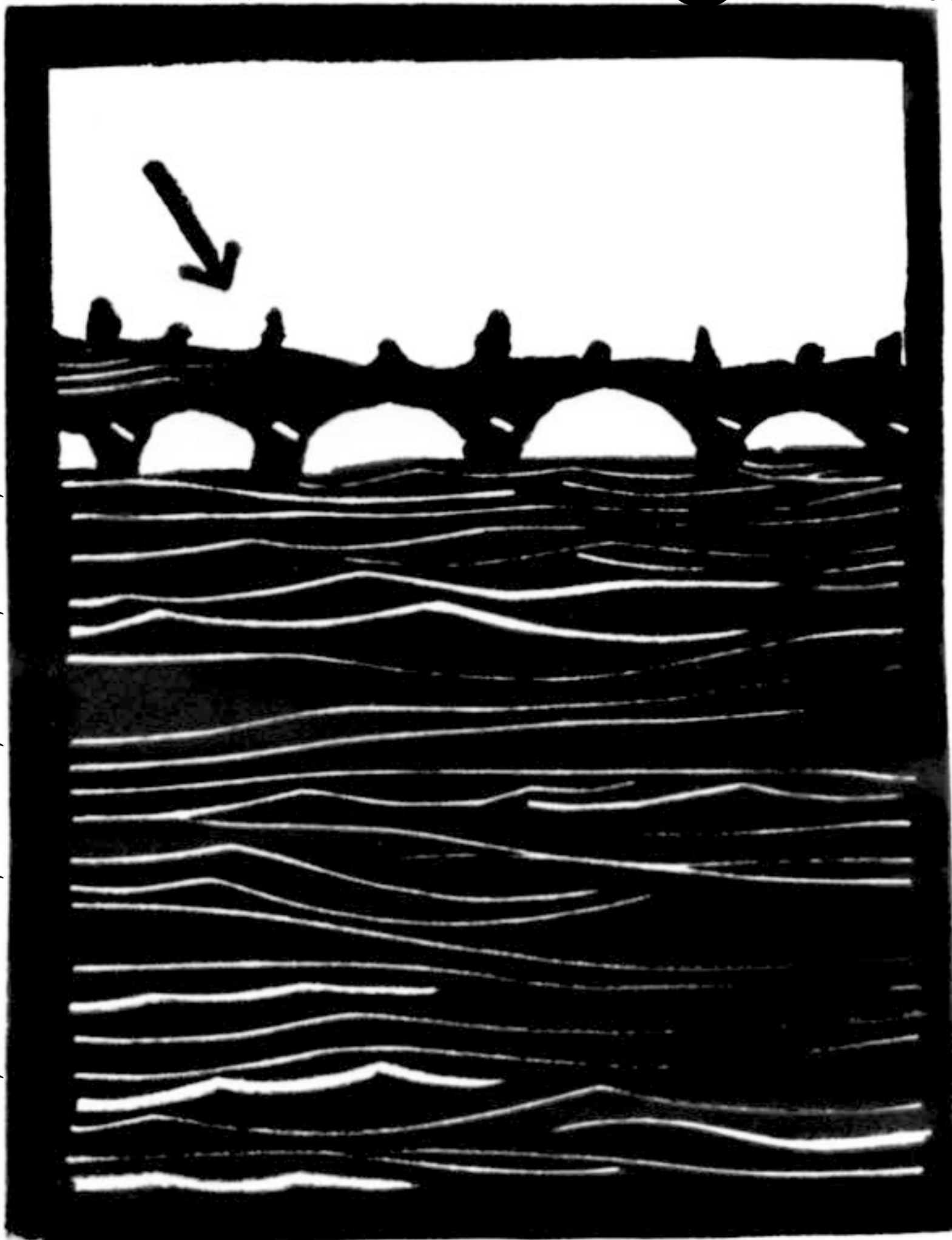
# mrówkojad\*

Kraków, marzec 2007, Numer 6 (Rok 2)

PRZED CZYTANIEM, ROZCIĄĆ. PRZED ROZCIĘCIEM, USIĄŚĆ!

Klub LOKATOR Magazyn

\* Anna Wasilewska, Aleksander Kaczorowski, Ivo Vodsed'alek, Jan Stachowski, Bartosz Solik, Stefan Themerson...



grafika: P10, 2006. Kot na moście Karola, linoryt 5x7

Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcięciem, usiąść!



NA MOSCIE KAROLA'

P10106

## OKŁADKA: „Kot na Moście Karola”

„Most Karola wygląda z Kampy jak długa wanna, w której przechodnie suną na przymocowanych do zadków kółkach. W rzece stęka Praga o polamanych żebrach i łukach mostów skaczących z brzegu na brzeg niby zjadłe brytany. Mógłbym pójść do browaru, odwiedzić kuzynkę, która tam pracuje, albo złożyć wizytę gospodyni, która zapraszała mnie na jagodowe wino, ale idę, gdzie mnie nogi poniosą...”

Bogumił Hrabal



## Listy z Pragi

# Dlaczego tak lubię Kraków

Wizyta w Krakowie to dla mnie zawsze wielkie święto. Nie tylko dlatego, że mam tam wielu przyjaciół, ale przede wszystkim czuję tu głęboką więź między czeskimi ziemiami a Galicją. Nie chodzi tylko o to, że od połowy XIX wieku aż do 1918 roku Czechy i Galicja należały do tego samego, austro-węgierskiego państwa. Głębokie więzi istnieją tu już od średniowiecza. Kiedy przechadzałem się po wspaniałej katedrze na Wawelu, uświadomiłem sobie, że królowie jagiellońscy byli przez pewien czas również królami czeskimi.

Wracając do teraźniejszości – wpływ Wiednia na warunki życia jest z dzisiejszego punktu widzenia zaskakujący. Wiadomo, że w całej monarchii budowano takie same dworce i teatry, ale nawet architektura kamienic była do siebie wszędzie zbliżona. Jest tak różna od architektury kamienic holenderskich, włoskich czy paryskich. Idąc którąś z krakowskich ulic łatwo zapomnieć, gdzie jesteście i możecie odnieść wrażenie, że spacerujecie po Pradze. Czasem to nawet przyjemniejsze niż widok praskich kamienic, które wprawdzie oślepiają jasnymi barwami, ale jest to zawsze nieomylny znak, że właścicielami są zagraniczne firmy. Nazwy sklepów są zbyt często angielskie, jakby to wogóle nie była Praga.

I jeszcze jedna historia nas łączy. Nazizm zniszczył kulturę żydowską. Ale Kraków ma przynajmniej piękną pamiątkę: dzielnicę Kazimierz. Pracy radni zdolali na początku dwudziestego wieku uprzedzić nazistowskie wybryki. Wyburzyli całą dzielnicę żydowską z wyjątkiem synagogi i zabudowali ją nowymi domami. Ówczesni pisarze nazwali ich poczynania „Bestia triumphans”. Mimo to kultura żydowska ma w Pradze wielką tradycję. Mam na myśli nie tylko Kafkę czy innych pisarzy, ale wciąż publikowane i wznawiane czeskie wspomnienia, opowieści i rozmyślenia chasydzkich rabinów, ci zaś żyli przede wszystkim w Galicji.

Mija rok od czasu, gdy zostałem zaproszony do Krakowa z cyklem wykładów. Byłem przyjemnie zaskoczony tym, jakim powodzeniem cieszy się tu czeska literatura i jak dużo się tu o niej wie. Przede wszystkim zaś tym, jakie nurty w czeskiej literaturze polskiego czytelnika interesują najbardziej. Z radością przyjąłem tegoroczne zaproszenie, aby w klubie Lokator podzielić się swoimi wspomnieniami ze spotkań z Bohumilem Hrabalem. Sala była pełna uważnych słuchaczy, jak zawsze...  
Jeżdżę do Krakowa z radością.

## Ivo Vodsed'álek

W Pradze 6. lutego 2007

## Listy z Pragi

# Kraków – miasto z ciągiem dalszym

Po raz pierwszy przed laty: błędzenie ulicami, które oplatają śródmieście koncentrycznymi kręgami po linii starych murów miejskich. Inny swąd spalin niż u nas, bramy z napisami: uwaga samochód. Mżysta jesień. Szukam schronienia w podziemnej winiarni; tutejsze podziemia są jakby odbiciem miasta na górze. Nie jestem w stanie zorientować się w labiryncie zaczarowanego miasta. Night club Flipper na Rynku Głównym, agorafobia, lśniący bruk, sprzedawcy kwiatów zamykają stoiska. Gorąca fasola na drodze, odjeżdżam. Od tego czasu odwiedziłem Kraków co najmniej dwadzieścia razy. Sam i z kompanami. W drodze z Jarocina rozłożyliśmy śpiwory w parku na szańcach, w samym centrum, nieopodal Barbakanu. Pomału zaczynam się orientować. „Bary mleczne” to koło ratunkowe dla bezdomnych, do których ja też się tutaj zaliczam. Później odkrywam Kazimierz, kolejne dzielnice, kościoły i klasztory. Nawiązuję kontakt z mieszkańcami. Wygolony nowicjusz kosi trawę w ogrodzie klasztoru Kamedułów. Redaktor czasopisma Znak przyjął nas ze swoją matką do prastarego mieszkania z kaflowym piecem i mnóstwem książek. Celem jednej z kolejnych wizyt jest spotkanie operacyjne z grupą demokratycznie wybranych posłów w jakimś zameczku pod Krakowem. Potem, po dłuższym czasie wędruję tędy śladami swojego dziadka, który jako lekarz przemierzył okolicę wzdłuż i wszerz jesienią 1914 roku wraz z wojskiem austriackim i był Krakowem oczarowany. Po pierwszych starciach na froncie rosyjskim udało mu się zdezerterować. To miejsce nazywało się Modrzany. Ostatnimi laty wizytuję spotkania literackie, nasycone pićm i rozmowami. Kluby Łubu-Dubu, Lokator, Alchemia. Nowi przyjaciele. Czasem mam wrażenie, że Kraków jest wprost zaludniony bohemistami! Rejestruję kolejne punkty odniesienia: babiloński kopiec Kościuszki, opustoszały hotelowy kolos nad Wisłą, kominy elektrowni Łęg. Kolejne polskie słowa i powiedzenia, jak na przykład „kopnąć w kalendarz”. Uświadamiam sobie, że „zgubić się” brzmi jak czeskie „zahubit se” (zgłodzić), choć wiem od dawna, że oznacza ni mniej ni więcej jak „ztratit se” (zgubić się). Zresztą, w Krakowie już się tak łatwo nie gubię. Jak powiada przysłowie: człowiek ma prawo zablądzić tylko za pierwszym razem.

## Petr Pazdera Payne, Praga luty 2007

Uděláš pár kroků z moderního autobusového nádraží, zahneš za roh. Tady je rozhraní... Domy ze zčernalých cihel. V setmělých uličkách svítí čísla domů. Nad střechami se prohání teplý vítr uprostřed zimy. Vločky sněhu mokře a těžce zakalují nebe, unášejí matnou zář večerního města, aby pak mezi komíny, spolu s uhelným kouřem, skanuli do žestového orchestru okapů a skřípajících korouhví.

Jdeš dělnickou čtvrtí, jdeš kolem hřbitova kde černé stromy, lesklé deštěm, jsou rozpražené do tmy. Podejdeš několik viaduktů, staneš na neznámých prostranstvích. Díváš se na tramvaje, jak vezou život. Nasloucháš řeči lidí, jež je tak blízká a zároveň vzdálená. Vstupuješ do mléčných jídelen, do studentských kaváren. Jsi v Židech, a slyšíš večerní vyzvánění.

Cítíš svůj život, svou dočasnost. Díváš se do tváří nových přátel a s dotatým překvapením poznáváš v jejich řeči a dílech stejné věčné otázky a stejná východiska. Za horizontem tvé generace se rýsuje další pohoří naděje a obav, které ti nepatří, ale jemuž rozumíš – skrze vzpomínku na své mládí.

A vzpomínáš na Lisabon, na vůni moře v ulicích. Vybavuješ si Prahu, své rodné město. ...Snad všechna ta stará města, ty omšelé úzké ulice, a všechno co jsi v nich prožil, snad to všechno někam odplouvá. Co když ty starobylé čtvrti jsou součástí nějakého nesmírného Platónského města. Jež jako galaxie, je položeno napříč časem. A do nějž se vstupuje branou touhy a mlčení. Cestu tam znáš: naslouchej v šumícím tichu pod klenbou své mysli, naslouchej až uslyšíš to vzdálené dunění, následuj své srdce.

WYDAWCA:



KLUB LOKATOR  
Kraków, ul. Krakowska 27  
POLSKA

REDAKCJA:

Iga Noszczyk, Piotr Kaliński,  
Igor Kędzierski, Kuba Mikurda,  
Jacek Olczyk, Stanisław Kot.

WSPÓŁPRACA I TŁUMACZENIA:

Agnieszka Taborska, Petr Pazdera Payne,  
Sylvia NIKKO Biernacka, Paweł Ścisłusz,  
Marta Ambrosiewicz, Mariusz Frukacz,  
Joanna Druzyccka, Soma Kamińska,  
Igor Kędzierski

KOREKTA:

Małgorzata Biernacka

DZIAŁ FOTO:

Machina Fotografika - Biernacka/Makara,  
Piotr Kaliński,

ILUSTRACJE:

PIO, Adam Wiedemann

KOMISJA REWIZYJNA:

Magda Podziewska

PROMOCJA:

klub LOKATOR  
Kraków, ul. Krakowska 27  
www.lokator.pointblue.com.pl  
lokator@pointblue.com.pl

KONTAKT Z REDAKCJĄ:

mrówkojad@pointblue.com.pl

MIEJSKA GDZIE GRASUJE MRÓWKOJAD:

KRAKÓW: Klub Lokator, ul. Krakowska 27, Nowy Teatr, ul. Gazowa 21, Korporacja Haliart, pl. Szczęśliwi 3A, Maso- lit Books, ul. Felcjanek, NOWY SĄCZ: Kawiarnia Prowin- cjonalna, ul. Wasowiczów, STARY SĄCZ: Galeria pod Piłką, Stary Rynek 5, RZESZÓW: Klub Drukarnia, ul. Bożnicza 6, WARSZAWA: Księgarnia Tarabuk, ul. Browarna 6; PRAGA: Instytut Połski, Male nám., I OPAVA: Institut tvurc (fotografie, Bezručovo nám., 13; NOBYMBERG: Dom Krakowski, Hintere Insel Schütt 34; ZAGRZEB: KK Booksa, Maniceva 14d, ulice Lublany )

STALA WSPÓŁPRACA:

RADIO ARIP

atelier design



## Rozmowy RadiaArt



**Podwójne życie „Świata Przedstawionego”, czyli Piotr Kaliński i Igor Kędziński opowiadają słuchaczom Radia Art o bytach fikcyjnych w Polsce i o tym, dlaczego warto robić raczej coś niż nic.**

Spotykamy się w LOKATORZE w pierwszą sobotę lutego, aby porozmawiać o „Nowej fotografii i animacji z Krakowa”. Mamy pół godziny, bo lokatorzy oglądają właśnie film dokumentalny o Hrabalu. Pytam o „Świat Przedstawiony” i dowiaduję się od Piotra, że stowarzyszenie przestało istnieć z końcem minionego roku. Co teraz? Igor, który też właśnie się dowiedział, nie jest zaskoczony. Żartuje, że przyzwyczaił się do bytów fikcyjnych w naszym kraju. Okazuje się jednak, że „nieistniejący” „Świat Przedstawiony” działa bardzo pręźnie jak na taki właśnie byt... W końcu wystawa ozdobiła lokatorskie ściany w dniu naszej rozmowy odwiedziła wcześniej Norymbergę. Teraz jest w Nowym Sączu (Kawiarnia Prowincjonalna 10.02 - 10.03), a od dziesiątego marca będzie ją można oglądać w rzeszowskiej Kawiarni „Drukarnia”. W maju odwiedzi być może Zagrzeb (Cafe Booksa). Tyle zapowiedzi. Autorzy prac – Sylwia NIKKO Biernacka, Jakub Pierzchała, Julien Menand, Igor Kędziński i Piotr Kaliński (organizator przedsięwzięcia) – zaprezentowali widzom „swoje miejsca”. Choć wystawa nie jest instalacją „na temat” a każdy z twórców prezentuje zupełnie inne podejście do fotografii, efekty są nader ciekawe a kompozycja spójna. Tak więc może stowarzyszenie „Świata Przedstawionego”

nie zniknęło, ale zmieniło po prostu swój charakter... Nie chce już organizować oficjalnych spotkań ani załatwiać tzw. spraw papierkowych. Ma dosyć zbędnego wysiłku. Woli zająć się konkretnymi, takimi jak chociażby robienie zdjęć. No a przede wszystkim realizacją swego głównego założenia – organizacją miejsca i czasu. Dlaczego tym właśnie? Ponieważ – jak uważają – większość ludzi tego nie robi. Igor twierdzi, że brak takowej organizacji jest bolesną zachodnioeuropejską kulturą. A przecież w wielu kręgach kulturowych (na przykład w Japonii) jest to kwestia podstawowa, od której wszystko inne zależy. „Świat Przedstawiony” mówi „nie” kulturze masowej. Nie oznacza to jednak totalnego odcięcia się od tego co masowe. Idzie o coś innego: o uprawianie partyzantki w ramach kultury masowej, o stosowanie jej „dla spotęgowania wrażenia i poszerzenia widoczności akcji”. Ma ona służyć jako medium, ułatwiać przemyślenie „wyższych” treści. Jak dotąd, idzie im świetnie. Z niecierpliwością czekamy więc na następne projekty. Piotr obiecuje, że już po wakacjach będzie można zapoznać się z nową krakowską grafiką. Trzymamy za słowo.

**Sonia Kamińska, LOKATOR, luty 2007**  
[www.radioart.pl](http://www.radioart.pl)

# Kręcić każdy może.

Filmy kręcić każdy może. Kamery są łatwo dostępne, ich ceny też przestają stanowić większą przeszkodę. Czy jednak powszechny pęd w narodzie do kręcenia jest zjawiskiem z którego należy się cieszyć? Czy możemy myśleć o sobie z dumą – „ach, jakże kulturalni jesteśmy i filmowość praktykujemy pod strzechami”? Nie możemy. A to z kilku powodów. Po pierwsze – Polska jest oczywiście krajem poetów, miliony piszą ale tylko promil pisze dla milionów. Cała reszta pisani-ny trafia w czarne dziury szuflad i być może dobrze się dzieje, że przepada tam bezpowrotnie. Podobnie zaczyna się dzieć z filmowaniem. Jak tylko kilku znajomym wpada do głowy choćby i wątpliwej jakości koncept, zaraz chwytają się za bogu ducha winną kamerę. I kręcą te koszarne kawalki o bohaterach z doklejonymi wąsami, odpadającymi rękami, o przewrotkach na płocie, poślizgnięciu na bananie. Amatorskie „kino” pełne jest takich „superbohaterów” co to zwisają jak spidermani w dół głową – tyle, że na trzepaku. Często jest jeszcze gorzej, w tego rodzaju produkcjach poczucie dobrego smaku nie tyle schodzi na któryś tam plan, co po prostu nie jest „twórcem” znane. Co skutkuje mdłościami u widza. Jednak pal licho ogromną ilość filmowych koszmaków, poronionych realizacji pozbawionych ładu i składu, których pełno w offowym świecie. To normalne, że gdzie drwa rąbią tam i wióry gęsto leżą. W przypadku filmowych wyglupów przynajmniej czasami bywa zabawnie. A to dialog się uda, a to sytuacja rozśmieszy nas do łez. Zdarzają się też autentycznie komiczne perelki. Prawdziwy dramat zaczyna się przeważnie wtedy, kiedy amatorzy usiłują robić film – Na Serio. Najlepiej o nieszczęśliwej miłości. To nie lada ambitne zamierzenie najczęściej zmienia

się w niezamierzoną parodię. Ekran zaludniają w takich przypadkach jakieś dziwnie drewniane postaci, żalostnie żalostne w swym udawanym cierpiętnictwie. Siedzi to to takie na parapecie i дума jak to się stać mogło, że go zostawiła kobieta, co to się chciał „z nią zestarzeć”. Litości! Niechby jeden z drugim bohater takich filmideł poszedł po rozum do głowy, przestał się memlać i czymś do licha, poza przeżywaniami, zajął. Te serio filmy przeważnie są niestrawne. Zdarza się młodym „filmowcom” rzucać na głęboką wodę tematów takich jak „Bóg” czy „Śmierć” i wtedy można wpaść w iście chocholi taniec rozbawienia. Im bardziej serio chcą do nas „przemawiać twórcy” tym wyraźniej widać warsztatowe braki, banalność wypowiedzi, sztafopowosć obrazowania. Postuluję zatem aby powszechny dostęp do aparatów rejestrujących obraz i dźwięk został ograniczony. Zakup kamery powinien być poprzedzony wydaniem pozwolenia przez stosowny organ państwowy. Wydanie pozwolenia wiązałoby się z gruntownym przebadaniem potencjalnego posiadacza kamery – zarówno pod względem zdrowia mentalnego jak i fizycznego. A także wywiadem odnośnie zamierzeń i ewentualnych planów filmowych przekraczających standardowe imieniny u cioci. Cóż byśmy dzięki temu osiągnęli? Ukróciłoby to paćkowanie niewybrednych miniprodukcji filmowych. Poziom kina niezależnego z pewnością by się podniósł. Na polu walki pozostałoby tylko najlepsi, najtwardsi i jednocześnie z najciekawszymi pomysłami. Przede wszystkim chodzi mi jednak o ogromne niebezpieczeństwa jakie niesie za sobą kręcenie filmu. Praca nad filmem, jeśli nie jest to zwyczajna zgrzywa, jest zajęciem tyleż absorbującym co wyczerpującym. To zaangażowanie wiąże się z ogromnie

Z A P R O S Z E N I E

## LOKATOR W DRUKARNI

**„Nowa Animacja i Nowa Fotografia z Krakowa”  
klub Drukarnia – Rzeszów, ul. Bożnicza 6**

15 marca klub Lokator przenosi swoją „galerię” do zaprzyjaźnionego klubu Drukarnia, który od ponad roku działa na ulicy Bożniczej 6, w Rzeszowie.

Wernisaż fotografii Sylwii NIKKO Biernackiej, Kuby Pierzchały, Igora Kędzińskiego, Piotra Kalińskiego i Juliana Menanda rozpocznie się o godzinie 19:00, [wystawa potrwa do 15.04]. Prezentowane będą również nagrodzone filmy animowane XII festiwalu OFAFA w Krakowie, z omówieniem Mariusza Frukacza.[red]

Z A P R O S Z E N I E

*Orkiestra Kameralna*  
**Fresco Sonare**

**Orkiestra Kameralna *Fresco Sonare*  
zaprasza na koncert.**

**W programie:**  
**K. Penderecki, „Trzy utwory w dawnym stylu”**  
**G. Bacewicz, „Divertimento”**  
**M. Stachowski, „Sinfonietta”**  
**Z. Bujarski, „Pavana dla oddalonej”**  
**W. Kilar, „Orawa”**

**6 marca 2007 r. (wtorek), godz. 19:00,**  
**Aula i hol główny pawilonu A0**  
**w Akademii Górniczo-Hutniczej,**  
**Kraków, al. Mickiewicza 30.**  
**Wstęp wolny.**

trudną sztuką otwierania się na innych ludzi. Niezależnie od tego, jaką pełnisz rolę w produkcji, żyjesz przez określony czas w grupie, w której zachodzi intensywna wymiana, nie zawsze intelektualna. Zamknięty czas realizacji, wysoki poziom emocji nie znajdujący ujścia w odrębnych zajęciach, szczególnie rodzaj zaangażowania – wszystko to może powodować, że nawet osoby o silnej psychice mogą nie poddać. Kręcenie filmów wydaje się najbardziej ekstremalnym ze sportów. Zwłaszcza filmów amatorskich, przy których twórców nie zabezpiecza aktorskie czy reżyserskie wykształcenie – samo kręcenie jest dla nich szkołą i najczęściej na początku popełniają wszystkie możliwe błędy. Nie wspomnę już o tak banalnej sprawie, jak jakiegokolwiek zabezpieczenia przy kręceniu scen niebezpiecznych czy udziale kaskaderów – nie ten budżet – w związku z tym bardzo łatwo o wszelkiego rodzaju kontuzje. Jak widzicie „powinni tego zabronić”, przynajmniej tym nieodpornym i nieodpowiedzialnym. Jeśli jednak powstanie film amatorski, który da się oglądać. Jeśli wysiłek ludzi z kamerą przyniesie skutek nie w postaci durnej zgrzywy, czy żalostnego melancholizowania, to w takich sytuacjach czapki z głów. Bo to jak udany skok z wysokiej skały do oceanu – nie roztrząsać się i wypłynąć na powierzchnię – cud niemalże. Tym niezliczonym należą się brawa. Bo same chęci nie wystarczą. Trzeba mieć to Coś, ogromną odporność, sporo szczęścia i dobrych współpracowników. Wtedy można sobie nieźle pokręcić.

**Paweł Ścibisz**  
**Kraków, styczeń 2007**  
[pawelscibisz@qino.pl](mailto:pawelscibisz@qino.pl)

# Spotkanie, które nie doszło do skutku

Foto: arch. wydawnictwa Czarne

**Uniwersytet to miejsce, gdzie nie dzieje się nic ciekawego. O Bohumilu Hrabalu, jego życiu i twórczości mówi Aleksander Kaczorowski\*, tłumacz i biograf Hrabala, miłośnik jego prozy i postawy życiowej.**

Był Pan umówiony z Hrabalem na spotkanie, które nigdy nie doszło do skutku, bo właśnie w tym czasie Hrabal zginął.

To jest historia niedosłej wizyty Bohumila Hrabala w Polsce. Pod koniec 1996 roku poczyniłem starania, żeby go zaprosić. Zawsze marzyłem o tym, żeby go poznać, ale jak sobie myślałem, że musiałbym przychodzić pod „Złotego Tygrysa”<sup>1</sup>, czatować, zaglądać i naprzykrzać się, a on mnie jeszcze przegoni i pośle w diabły – jak to czynił z innymi natrętami – pomyślałem, że znacznie sprytniej będzie zaprosić go do Warszawy na promocję jego książki w moim przekładzie. To był „Czuty barbarzyńca”. Książka miała się ukazać na wiosnę. Sprawę wizyty Hrabala ustalałem z jego fotografem, kierowcą – właściwie człowiekiem do wszystkiego – Tomaszem Mazalem. Wtedy jeszcze nie miałem mejla, on też nie, więc wymienialiśmy listy. I taki list dostałem od niego 3 lutego. Otworzyłem go rano. Było w nim napisane, że Hrabal jest w szpitalu, więc nie można się jeszcze umówić konkretnie na jakiś termin.

**Co mu wtedy było?**

Hrabal zgłosił się do szpitala na własną prośbę. Od wielu lat cierpiał na bóle reumatyczne, które sprawiały że po prostu nie mógł się ruszyć, nie był w stanie nawet wyjść z łóżka. Wtedy, od listopada miał coraz większe problemy z chodzeniem. Poza tym w ciągu ostatnich lat życia, kiedy już został sam, bez żony, bez najbliższych przyjaciół, zima była dla niego problemem, nie bardzo miał jak ją przeżyć. W ciągu roku rano jechał

do Kerska, dokarmiał koty, trochę popisał, a wieczornym autobusem wracał do Pragi, i wtedy szedł do knajpy, przeważnie do Tygrysa. Tam wypijał te parę piw. Gdzieś po trzecim na tyle się rozluźniał, że w ogóle był w stanie brać udział w rozmowie, i podobno było to wówczas bardzo przyjemne. A koło północy wracał do mieszkania na peryferyjnym osiedlu, na wysokim piętrze. Szedł spać i tyle. A rano znów stamtąd uciekał. Jeszcze dopóki żyła jego żona, wszystko to jakoś wyglądało, ale po jej śmierci w 1987 roku coraz bardziej zapuszczał mieszkanie i samego siebie. Tomasz Mazal opowiadał mi, jak to już po śmierci Hrabala odkrył, że w jego mieszkaniu przez spluczkę w toalecie lała się woda i to pewnie trwało miesiącami. To był stary, samotny, schorowany człowiek, pozostawiony sobie samemu. Miał tę grupę ludzi, których spotykał w Tygrysie, którzy wozili go do kotów w Kersku, ale oni mieli przecież swoje życie. Hrabal zresztą nie chciał, żeby go traktowano jako osobę, która wymaga pomocy.

Pobyt w szpitalu był więc dla niego sposobem na przezimowanie. Poprzednią zimą też spędził w szpitalu. W tym wieku – a miał on wówczas osiemdziesiątkę – zawsze znajdzie się coś, co trzeba podkurować. Wychodził ze szpitala mniej więcej w lutym. Wyglądało na to, że tym razem będzie podobnie. Ale było inaczej. Pobyt w szpitalu bardzo źle na niego podziałał.

**Czy to nie było związane z depresją?**

Myślę, że tym, co naprawdę mu dolegało, była depresja, która pogłębiła się w szpitalu i prawdopodobnie to właśnie doprowadziło do samobójstwa. Hrabal został tam zaniedbany, pozostawiony sam sobie – tak mówią ludzie, którzy go odwiedzali w szpitalu. Lekarze uważali, że symuluje. Nie miał opieki psychiatrycznej, czy psychologicznej. I sytuacja dojrzała do tego skoku z okna.

Dostałem list od Mazala 3 lutego, że w zasadzie jeste-

śmy umówieni, ale o konkretach porozmawiamy jak Hrabal wyjdzie ze szpitala. A wieczorem dowiedziałem się, że Hrabal wypadł z okna – wtedy tak o tym mówiono. Musiałem wracać do redakcji „Gazety Wyborczej”, gdzie wtedy pracowałem, i pisać artykuł, który – pod tytułem „Piąte piętro” – ukazał się następnego dnia.

**Co Pan wtedy pomyślał?**

Od razu pomyślałem, że to było samobójstwo. Zresztą, rozpoczynałem swój artykuł fragmentem z „Zaczarowanego fletu”, z jego eseju, w którym właściwie zapowiada swoją śmierć. Kończyłem fragmentem z „Czulego barbarzyńcy”, gdzie znów pojawiał się wątek samobójczy, mianowicie wątek samobójstwa Vladimira Boudnika, przyjaciela Hrabala. Jest tam taka scena, kiedy Hrabal spotyka psychiatrę leczącego Boudnika i tamten ich myli. Tych tropów samobójczych była cała masa w twórczości Hrabala. Począwszy od historii Miloša Pipki z „Pociągów pod specjalnym nadzorem”.

**Mnie zaintrygowało to niedosłe spotkanie. Pozostały prawdopodobnie pytania, które chciał mu Pan zadać.**

Miałem tych pytań wiele, choć przypuszczam, że gdybym go spotkał oko w oko, byłoby mi bardzo trudno je zadać. Ale w zasadzie próbą odpowiedzi na te wszystkie pytania jest książka, którą potem napisałem, „Gra w życie”. To jest książka o tym, jak wyglądało jego życie w latach 50-tych, z kim się wtedy spotykał, co go kształtowało jako pisarza, jak to się w ogóle stało, że został pisarzem. Na pewno bym go pytał o dzieciństwo, o lata młodości, pytałbym go o takie mało znane fragmenty jego życiorysu jak jego studia prawnicze, o których właściwie nie wspominał. Podobnie jak o służbie w wojsku. A przecież to się tak kojarzy: Czesi i Szwedzi, wiadomo, wojsko jest wdzięcznym tematem literackim, w czeskiej literaturze zwłaszcza.



### Dlaczego do tego nie wracał?

Hipoteza, którą stawiam w swojej książce jest taka, że po latach uważał ten okres w życiu za mało płodny, że nie wydarzyło się wtedy nic takiego, o czym warto byłoby pisać. Ale co by to miało być, to coś ważnego? Dla niego ważne były spotkania z ludźmi, ale to byli specyficzni ludzie. Poznawał ich w knajpach, w fabrykach, gdzie pracował, w hucie, w składnicy makulatury, krótko mówiąc, na dnie. Według Hrabala pisarz musi żyć na dnie. Uniwersytet to jest przeciwieństwo tego dna i on to założył programowo, że Uniwersytet – jako przeciwieństwo owego dna – to miejsce, gdzie nic ciekawego się nie dzieje.

### Jak poszukiwał Pan materiałów o życiu Hrabala?

To były rozproszone źródła. Wyszły, przede wszystkim, w 19 tomach jego dzieła zebrane opatrzone komentarzami. Tam można było znaleźć sporo szczegółów i ciekawostek. Poza tym było już sporo książek o nim samym np. niezbyt udana biografia Moniki Zgustovej. Staralem się przeczytać po prostu wszystko na ten temat. Było też pismo „Han'ta Press”, które wychodziło w latach 80-tych, poświęcone Hrabalowi i jego kręgowi. W nim można było znaleźć bardzo ciekawe rzeczy, jak choćby listy stryja Pepina do jego brata, czyli ojczyma Hrabala. Dużo rozmawiałem też z ludźmi, którzy go znali, Tomaszem Mazalem, Václavem Kadecem.

Poza tym źródłem było także to, co sam Hrabal zawarł w książkach. Jego twórczość jest w ogromnej mierze autobiograficzna. Jest to oczywiście kreacja, jak każda autobiografia pisarska, ale generalnie trzyma się to faktów.

### Właśnie, czytając Hrabala zastanawiałam się, na ile można go rozumieć poprzez biografię, a na ile to było pisarstwo programowo skoncentrowane na pewnych tematach, a odrzucające inne. Może to było jego twórczym odkryciem i wyborem, a nie koniecznością wynikającą z biografii?

Był w tym element autowizerunku, który kreował, to wypieranie się uniwersytetu, wyższego wykształcenia, które przecież miał, kreowanie się na człowieka z dołów, wykształconego wbrew własnej woli, jak Han'ta, bohater „Zbyt głośnej samotności”. Każdy czytelnik Hrabala wie o stryju Pepinie, ale mało kto słyszał o jego wuju Bohouszu, po którym Hrabal odziedziczył imię. Był to zamożny człowiek, mecenas sztuki, wydawca pism literackich, prowadził salon w Brnie, w którym Hrabal bywał jako nastolatek. Wspomina o tym w jednym miejscu, że źle się tam czuł, zapominał języka w gębie i chciał stamtąd natychmiast uciec, do swoich kolegów, dzieci pracowników browaru, którzy bez butów biegali po polach.

### Hrabal, jakby poszukiwać go w jego pisarstwie, jest niezwykle dobrym, dobrotliwym człowiekiem, zarazem przecież jakże brutalne jest czasem to, co pisze. Jakby badał miejsca, w które wkrada się okrucieństwo.

Ja myślę, że jego obserwacja podstawowa jest taka, że świat jest okrutny, ale tam właśnie wkrada się dobro. I on bardzo skrętnie te wszystkie promyczki, fragmenty dobra wychwytuje. Z jednej strony serwuje nam niesłychanie optymistyczną opowieść. Ale jeśli się lepiej przyjrzeć, okazuje się ile tam jest jednak okrucieństwa.

### Miałam wrażenie, że czasem czuł się jak magnes przyciągający zło, jakby ciążyło nad nim fatum i ścigało go, przypominało, choćby o konieczności śmierci.

Tak, ale to dotyczy właściwie ostatniego okresu jego twórczości, który – według mnie – jest w ogóle dyskusyjny. Teksty z lat 90-tych są świadectwem jego stanu, odchodzenia pisarza, pogrążania się w depresji. On

sam uważał, że to właściwie są półprodukty, teksty, które jeszcze 10 lat temu stanowiłyby dopiero materiał do prawdziwej książki. Wiele jego książek ukazało się wiele lat po tym, jak zostały napisane. „Zbyt głośna samotność”, którą napisał w 1975 roku, w Czechach oficjalnie wyszła dopiero w grudniu 1989. Wtedy też udzielał wielu wywiadów i mówił, że ta książka jest jego największym osiągnięciem i, że właściwie nie powinien już nic pisać.

### A jak wyglądało życie artystyczne w Czechach Hrabala? Na ile działalność takich osób jak Egon Bondy czy Jana Ěrna oddziaływała też na niego?

Trudno w tym czasie mówić o środowisku artystycznym. To były raczej grupki osób, przyjaciół, które niekoniecznie miały ze sobą kontakt. Hrabal, owszem, poznał Bondy'ego, ale był od niego starszy o 16 lat. To byli ludzie zupełnie innych pokoleń. Z perspektywy Hrabala ci artyści stanowili raczej grupkę ekstrawaganckiej, rozwydrzonej młodzieży. Owszek, kiedy Ivo Vodsed'alek wraz z Bondym stworzyli pismo „Pulnoc”, publikował w nim również Hrabal. Ale nie znaczy to, że Hrabal był częścią tego środowiska. Antymieszczański bunt tego kręgu artystów Hrabala nie dotyczył. On odrzucał mieszczaństwo raczej dlatego, że kojarzyło mu się z nadopiekuńczą matką. Szukał autentyzmu i znalazł go wśród robotników, wśród mieszkańców peryferii. Ich rzeczywiście kochał.

Hrabal bardziej był związany z kręgiem ludzi zgromadzonych wokół Jirziego Kolaža, który był rówieśnikiem Hrabala, ale już utytułowanym twórcą. Kolaž debiutował jeszcze przed wojną, a w czasie stworzył najważniejszą grupę poetycką tamtych czasów – „Grupę 44”. Po wojnie był jednym z najbardziej znanych poetów swego pokolenia, a to ono miało stworzyć powojenną czeską literaturę. Był także teoretykiem sztuki, plastykiem. Hrabal do niego lgnął. A poza tym poszukiwał czegoś, co mógłby afirmować. Ěrna, czy Bondy programowo wszystko negowali. Było to też oczywiście związane z wiekiem. Hrabal będąc w ich wieku też był zbuntowanym surrealistą. Ale to było w roku 34-35 – kompletnie inna epoka.

### Jakie można wskazać korzenie twórczości Hrabala?

Chyba nie ma w czeskiej literaturze autora, na którego nie wpłynąłby surrealizm, zarówno ten klasyczny, francuski, jak i jego czeskie odmiany. Hrabal pod tym względem jest typowy. Tylko że w jego przypadku to stężenie inspiracji surrealistycznych było wyjątkowo duże. W kontekście Hrabala mówi się też o realizmie magicznym. Termin ten stosowany jest w odniesieniu do literatury południowoamerykańskiej, choć po raz pierwszy został użyty w latach 40-tych przez Czecha – Josefa Horę, który jest twórcą tego pojęcia. Pierwotnie dotyczyło ono zjawisk literackich czeskich. Z tradycji rodzimych inspirację dla Hrabala stanowił na pewno Szwejk, a więc historia, czy raczej historyjka, anegdota. Żywioł mowy jako cecha konstytutywna literatury. Trzeba pamiętać, że sam Hašek w literaturze czeskiej był dużą rewolucją. Tak się nie pisało. Koniec XIX wieku w literaturze czeskiej to jest ciągle budzenie uczuć narodowych, krzepienie ducha, wychowywanie obywatela. Wszystko to było uładzone, porządnie napisane i śmiertelnie nudne. Poza poezją. I nagle pojawia się Hašek, który pisze tak, jak mówią ludzie, a nawet tak, jak wrzeszczą w gospodach. Zwykły język nie pojawiał się wcześniej w literaturze. Uważano, że tak pisać nie można. Hrabal pokazał, że owszem można, a nawet że to właśnie czyni tę prozę jędmą, tętniącą, oddającą rzeczywistość.

Zarówno dla Haška, jak i dla Hrabala świat jest miejscem zderzenia kontrastów – to jest najciekawsze w tym, co nas otacza. Czyli zderzenie przeciwieństw: śmieszne i straszne, wzniosłe i niskie, smutne – we-

sole. Są nawet takie prace literaturoznawcze, w których się wykazuje, że kontrast jest podstawową cechą poetyki Hrabala. To też obecne jest już u Haška.

### Ale Hrabal pisze w nieco innym duchu, jest poważniejszy.

Tak, jest głębszy. Kiedyś bardzo ładnie określili to Wojciech Żukrowski, że różnica między Haškiem a Hrabalem jest taka jak między miednicą, w której myjemy nogi, a studnią, w której utopiło się dziecko.

### A jak Pan trafił na Hrabala?

Dzięki literaturze drugoobiegowej. W '88 roku zacząłem studia na Uniwersytecie Warszawskim. Tam, na dziedzińcu były stoiska z literaturą niezależną. Wtedy jeszcze nie interesowałem się Czechami. Byłem na socjologii. I naraz dowiedziałem się, że jest taki pisarz, którego trzeba koniecznie przeczytać. Chodziło o Milana Kunderę. Faktycznie bardzo mi się to spodobało i zacząłem kupować wszystko, co czeskie. Wtedy wydawano bardzo dużo czeskich książek. I tak odkryłem Hrabala. Pod wpływem lektur bardzo chciałem pojechać do Czech, co wtedy było trudne, bo przed aksamiłną rewolucją nie tak łatwo było tam wjechać. Po-tem też nie było łatwiej; ostatnia granica jaką otworzył w '91 roku rząd Klaus, to była właśnie granica polsko-czeska. Ale w maju '90 roku otwarto granicę na kilka dni w związku z wizytą papieża w Czechosłowacji. Korzystając z tego pojechałem i do Pragi i do Bratysławy. Zwiedziłem wtedy te wszystkie hrabalowskie miejsca, pojechałem tam, gdzie mieszkał, odwiedziłem gospody.

### I nie udało się wtedy go spotkać?

Nie. Oczywiście mogłem pójść do Tygrysa, ale było mi jakoś głupio. Miałem już wtedy tak emocjonalny stosunek do tego pisarstwa, do tego pisarza, że nie chciałem wyjść na fana. Pomyślałem, przyjdę, on mi coś podpisze i co? Przecież ja miałem ochotę przegadać z nim cały wieczór. Stąd powstał pomysł, żeby nauczyć się czeskiego i wziąć się za tłumaczenie książek Hrabala. A jak którąś przełoży, to wtedy zaproszę go do Warszawy i poznam. Wtedy pogadam z nim o wszystkim. No i prawie się udało.

## Rozmawiała Joanna Drużycka

<sup>1</sup> „Pod złotym tygrysem” – nazwa ulubionej praskiej gospody Hrabala.

**\*Aleksander Kaczorowski - (1969) jest autorem książek „Gra w życie”. „Opowieść o Bohumilu Hrabalu” (2004), zbioru esejów „Praski elementarz” (2001) oraz przekładów prozy Bohumila Hrabala, Josefa Skvoreckého i Egona Bondyego. W latach 1995-2002 redagował „Gazetę Środkowoeuropejską”, dodatek „Gazety Wyborczej” poświęcony problematyce krajów Europy Środkowej. Pracował w tygodnikach „Polityka” i „Forum”. Obecnie jest zastępcą redaktora naczelnego „Newsweek Polska”.**



Książki Aleksandra Kaczorowskiego „Europa z płaskostopiem” i „Gra w życie” można nabyć w księgarni klubu LOKATOR.



Foto: Piotr Kaliński. Klub LOKATOR, luty 2007

# Balony mogą się wznieść...

## Ducha Bohumila Hrabala wywołują w 10. rocznicę jego śmierci Ivo Vodsed'álek, Jan Stachowski i Igor Kędzierski

**Igor Kędzierski (IK): Ivo, kiedy i w jakich okolicznościach poznałeś Bohumila Hrabala?**

Ivo Vodsed'álek (IV): Muszę przyznać, że poznałem Hrabala osobiście dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych. Było to dla mnie naturalnie wielkie zaskoczenie, spotkaliśmy się na wystawie w listopadzie 1988 roku, to był wernisaż wystawy w Pražské tržnicy. Ta wystawa była interesująca z tego względu, że zorganizowano ją w całości bez udziału oficjalnych urzędów i instytucji. Ja oczywiście śledziłem twórczość Bohumila od początku lat pięćdziesiątych, i było dla mnie nie lada niespodzianką, kiedy usłyszałem od samego Hrabala, że doskonale orientuje się w tym, co napisałem ja. Znał moje teksty i wdał się ze mną w rozmowę w sposób tak naturalny i wnikliwy zarazem, że nie mogłem mieć żadnych wątpliwości, że mam do czynienia z wtajemniczonym czytelnikiem. Kiedy dwa lata później doszło do rozluźnienia sytuacji politycznej, to właśnie on był inicjatorem tego, że ukazał się mój debiut... pięciotomowy debiut i równocześnie dzieła zebrane. Jakiś czas później zostałem zaproszony do słynnego stołu w piwni Pod Złotym Tygrysem, gdzie w każde wtorkowe popołudnie spotykali się i spotykają do dziś przyjaciele Hrabala. Mogę powiedzieć, i proszę wybaczyć, że wyrażam się w taki sposób, ale takie jest moje odczucie, że relacja, która łączyła Hrabala ze mną i mnie z nim była relacją bardzo intensywnej przyjaźni. Hrabal potrafił to okazywać. Świadectwem intensywności takiej relacji jest zawsze to, że pojawiają się prędzej czy później ostre konflikty. Pewnego razu siedzie-

liśmy w knajpie i rozmawialiśmy o okolicy miasta Vysoké nad Jizerou. Stamtąd wywodzi się cała moja rodzina, mamy tam bardzo ładną chatę i często jeździmy tam spędzać wolny czas. W okolicy tej miejscowości jest wiele gościńców i lokali, które mają bardzo szczególne nazwy: Kalifornia, Meksyk, Nowy Jork, Espero. Rozmawialiśmy o nich z Hrabalem, a on nagle zaczął mnie poprawiać. Jako rodak, krajan z Vysokého nie mogłem przyjąć do wiadomości faktu, że orientuje się w tej okolicy lepiej niż ja. Na tę niefrasobliwą sprzeczkę nałożyła się wszakże jeszcze jedna, fatalna w skutkach historia. Otóż wśród wspomnianych oberży i zajazdów jest jeden, który nosi nazwę Espero, co w tłumaczeniu z języka hiszpańskiego oznaczałoby nadzieję. Moim rodzicom przytrafiła się tam bardzo dziwna przygoda, która – proszę się nie obawiać (śmiech) – wiąże się ściśle z Hrabalem. Jakoś w latach trzydziestych mój ojciec z mamą i jeszcze jakimś znajomym jechali samochodem do Vysokého i gdzieś przy owym Espero zaskoczyły ich gwałtowne śnieżyce. W całej historii ważne jest to, że było ich troje, jeszcze ów kolega. Z powodu tej strasznej zawiei nie mogli kontynuować podróży. Zatrzymali się w Espero, a tam zaproponowano im nocleg. Dostali dwuosobowy pokój. A kiedy następnego dnia rano mama schodziła do restauracji, pani karczmarka zapytała: „Jak się panienka wyspała?”. Panienka! (śmiech). Należy pamiętać, że w owych czasach w większości gospod panom oferowano „do dyspozycji” właśnie panienki! No, a kiedy opowiadałem tę historyjkę w knajpie, Hrabal po jej wysłuchaniu

dodał, że ta karczmarka musiała to powiedzieć z takim łobuzerskim, drwiącym uśmiechem. Poczulem się dotknięty i zaraz po powrocie do domu napisałem krótki tekścik pod tytułem „Nadzieja”, w którym opisałem raz jeszcze całą historię, zauważając, jak głęboko mylił się Hrabal sugerując, że pytanie karczmarki było wypowiedziane tonem ironii. Nie było! Karczmarka była poczciwą kobieciną i pytała z dobrego serca, nic więcej! Tak czy owak, w następny wtorek wydawca Václav Kadlec przyniósł ten tekst Pod Złotego Tygrysa – już wydrukowany – i rozdał go wszystkim gościom jako taki mały prezent „pod choinkę”. Od razu wiedziałem, że jest źle. Hrabal był przecież nieomylny. Te nasze wtorki w gospodzie Pod Złotym Tygrysem kończyły się zwykle tak, że Hrabal po wypiciu swoich dwóch trzech piw zbierał ze stołu wszystkie rachunki i płacił za wszystkich. Spostrzegłem, że tym razem bardzo uważnie śledzi, który z rachunków jest mój, a następnie zręcznym ruchem go pomija. Nie miałem wątpliwości, było naprawdę źle. Przez najbliższe dwa miesiące omijałem Złotego Tygrysa szerokim łukiem, po czym nagle otrzymałem od niego wiadomość, którą posłał przez Václava Kadleca, w której pytał, dlaczego przestałem przychodzić, i kiedy wreszcie się pojawię. Nasza przyjaźń trwała, wróciłem do Złotego Tygrysa, siadywaliśmy obok siebie, a on trzymał mnie za rękę i pięknie opowiadał o tym, jak wielka i wspaniała przyjaźń nas łączy. Zawsze powtarzam, że tak jak Piłat trafił do credo, tak samo ten tekścik „Nadzieja” trafił do dzieł zabranych Hrabala. Znajduje się w XIV tomie jego dzieł



zebranych. Jest to związane z jeszcze jednym tekstem Bohumila Hrabala, który nosi tytuł „Rapsodia”, w którym Hrabal opisuje swoje niedzielne poranki w Nymburku, gdzie nad Łabą spotykał tego typu panienki i za każdym razem pytał się ich: „Jak się paniom spało?”...

**IK: Chciałbym teraz zapytać o to samo pana Stachowskiego. Jaki był Pański pierwszy kontakt z Hrabalem?**

Jan Stachowski (JS): Skoro ten nasz wieczór ma taki wspominkowy charakter, to chciałbym, mówiąc o swoich kontaktach z Hrabalem, podzielić ten wątek na dwie części. Po pierwsze kontakt, górnolotnie mówiąc, intelektualny czy też czytelniczy po prostu, a po drugie kontakt osobisty, bo i ten miał miejsce. O istnieniu Hrabala dowiedziałem się dopiero na studiach. Nawiasem mówiąc, jestem absolwentem krakowskiej bohemistyki. Dopiero na studiach, w 1969 roku, zobaczyłem po raz pierwszy (i nie ostatni, potem byłem na tym filmie jeszcze z dziesięć razy) film „Pociągi pod specjalnym nadzorem”. Zaczęłem czytać wszystko, co – przede wszystkim za sprawą przekładów pana Andrzeja Czycibora-Piotrowskiego – było podówczas w Polsce dostępne. Tak się zrodziła fascynacja tym pisarzem. Kolega ze studiów, Janusz Anderman, też zafascynował się do tego stopnia twórczością Hrabala, że napisał o nim pracę magisterską. W swojej prozie wykorzystuje zresztą, tak mi się przynajmniej wydaje, techniki pokrewne tym hrabalowskim. Sądziłem, że na tym się skończy, ponieważ po studiach planowałem karierę naukową, chciałem zostać językoznawcą, ale szczęśliwie się rozmyśliłem i po czterech latach pisania czy też prób pisania pracy doktorskiej odszedłem z uczelni i zatrudniłem się w wydawnictwie Śląsk w Katowicach, które wydawało wówczas, choć oczywiście na miarę tamtych czasów, trzeba pamiętać, że to były lata siedemdziesiąte, więc mogli być wydawani tylko autorzy aprobowani przez cenzurę, otóż wydawnictwo to miało taką serię Biblioteka Pisarzy Czeskich i Słowackich. Bodaj w 1979 roku udało się wydawnictwu uzyskać opcję na drugą książkę Hrabala po jego kilkuletniej przerwie, kiedy był pisarzem na wewnętrznej emigracji. Pierwszą książką były „Postrzyżyny”, a później wyszło „Święto przebiśniegu”. Wydawca zaproponował mi, aczkolwiek ja nie miałem jeszcze doświadczenia jako tłumacz, przekład tej drugiej książki. Miałem świadomość, że – jak to w tamtych czasach bywało – książka przeszła przez cykl cenzorski, znajomi z Pragi mówili, że oryginalny tekst był dużo bogatszy, że cenzura nie puściła iluś tam fragmentów. Mimo świadomości, że książka jest okaleczona, uznałem po lekturze „Święta przebiśniegu”, że to na tyle świetna proza, że warto podjąć się trudu jej przetłumaczenia. Zaczęłem tłumaczyć i oczywiście natrafiłem na różne rafy, z którymi nie potrafiłem sobie poradzić. Zdobyłem adres pisarza, mieszkał wtedy już nie w Libni, na tej swojej magicznej ulicy Grobli, jak on mawiał Grobli wieczności, tylko w mieszkaniu w bloku na osiedlu Kobylisy, w takiej typowej socjalistycznej zabudowie. Napisałem do niego, odpisał mi stosunkowo szybko, że bardzo chętnie się ze mną spotka. Pojechałem do Pragi, to było bodaj na wiosnę 1980 roku, i umówiliśmy się – gdzieś indziej – oczywiście w knajpie, w centrum Pragi, przy placu Jungmanna w piwiarni u Pinkasów. Piwiarnia jest tam do dziś, ale wygląda całkowicie inaczej niż kiedyś. Zaprosił mnie właśnie tam i jak wyjawiał mi podczas spotkania, zrobił to dlatego, że, powtarzam: „Wie Pan, to jest pierwsza czeska piwiarnia, gdzie zaczęto rozlewać pilsnera, jeszcze w XIX wieku. Dopiero później pilsner zaczął się rozwijać i rozprzestrzeniać, ale Pinkasi byli pierwsi”. Siedzimy sobie, ja wyciągam butelkę Żytniej wódki, którą przywiozłem mu w prezencie, no bo cóż innego miałem z tego biednego kraju przywieźć? Wtedy jeszcze nie była na kartki. Hrabal strasznie się z tego powodu ucieszył, ja wiedziałem, że on nie stroni od alkoholu, po-

dobnie zresztą jak ja. Znakomicie, powiedział, niedawno też był u mnie jakiś polski tłumacz i przywiózł mi Wyborową, to sobie będę mógł teraz porównać. Siedzieliśmy dalej w tej piwiarni, zaskoczył mnie kilka razy różnymi rzeczami, ale największym, zaskoczeniem było, mimo że do Pragi jeździłem już kilka ładnych lat, pewne zjawisko gastronomiczne. Hrabal zapytał, czy napiję się piwa. No wie pan, odpowiedziałem, jestem bohemistą, to jakże ja mam piwa nie pić. Profesor Baluch, który jest moim mentorem, zawsze mówił, że kto nie pije piwa nie może być bohemistą. Więc poprosiłem o piwo, oczywiście. Machnął na kelnera i krzyknął: „Milane, tři hladiny!” (Milanie, trzy poziomy!). Zbaraniałem. A trzeba jeszcze dodać, że siedział z nami przy stole taki nadworny biograf Hrabala, niezjący już profesor Kladiva, pytam więc tego Kladivy po cichu, panie profesorze, co to właściwie doktor zamówił, bo na Hrabala mówiło się panie doktorze, w końcu był doktorem praw, a on mówi, „A nie nie, to pan zobaczy”. Czekam zatem w napięciu, wreszcie przychodzi kelner, niesie trzy kufle, a w tych kuflach nie ma piwa. Tylko białe są całe, z góry na dół. Ja oczywiście nie skrywałem zdziwienia, a Hrabal siedział cały zadowolony i przyglądał się mojej zdumionej twarzy. „Spokojnie spokojnie” – mówi do mnie – „czekaj pan”. Czekamy czekamy, no i rzeczywiście, nie upłynęły dwie minuty, kiedy od dna zaczęła się podnosić i podnosić piana, i robiło się z tego żółte piwo, aż stanęło dokładnie na tej kresce, oznaczającej, że to jest pół litra. Pan Hrabal, strasznie zadowolony, że udało mu się wprawić mnie w takie osłupienie, powiedział: „Wie pan, to jest jedna z nielicznych praskich piwiarni, gdzie barman potrafi lać piwo w ten sposób”. Nota bene teraz też jest tylko jedna taka gospoda, już nie u Pinkasów, ale u Rudolfinum, gdyby ktoś miał ochotę spróbować. To był mój pierwszy kontakt z Hrabalem, później poszliśmy do mieszkania profesora Kladivy, gdzie Hrabal objaśniał moje wątpliwości i pytania, panowała niezwykle miła atmosfera, byłem naprawdę pod ogromnym wrażeniem. Co więcej, idąc po tych paru piwach do mieszkania, żeby już pogadać konkretnie o tekście, zdarzyła się rzecz niesłychana, ja potem nawet podejrzewałem, czy to nie było jakoś zaaranżowane. Otóż zaczął nas jakiś chłopina, wyglądający bardzo prowincjonalnie, z pytaniem jak trafić do browaru, już nie pamiętam, czy szło o Smíchov czy o Braník, mniejsza o to. Hrabal mu zaczął tłumaczyć, ale w pewnym momencie zamilkł, by po chwili zapytać: „A po diabła pan się tam w ogóle wybiera?” A ten odpowiada, że chce sobie kupić piwo bezpośrednio w tym browarze, bo tam jest najlepsze i tak dalej. A Hrabal na to: „Panie, jakie najlepsze, przecież to jedno z najgorszych piw!” No i zaczęła się scena. Na dodatek stało się to na Můstku, w samym sercu placu

Wacława, w samym środku Pragi! Kłócili się przez dobre dziesięć minut, nie szczędząc sobie karczemnych wyzwisk, o to, które piwo czeskie jest najlepsze. I stała się rzecz niesłychana. Zwykła codzienność przemieniła się nagle w teatr! Dopiero po latach, kiedy spotkałem Hrabala ponownie, już jako starego, zmęczonego człowieka, który coraz gorzej znosił towarzystwo, zauważyłem, że on po prostu przyciąga takie niezwykle zdarzenia. Z tej codzienności, szarości i zwykłości on przyciągał zajścia niezwykle, które później, ponieważ sam o sobie mawiał, że jest chodzącym magnetofonem, natychmiast zapamiętywał i wykorzystywał literacko.

**IK: Kim był ten bohemista, który przywiózł Wyborową? Czy to się udało ustalić?**

JS: O ile dobrze pamiętam, tuż przede mną robił tam wywiad albo Andrzej Nabuchowski, również katowiczanie, tłumacz Zahradnička między innymi, albo pan Pluta, wrocławianin. Jeden z tych dwóch.

**IK: Chyba warto przy tej okazji wspomnieć, pod rozwagę wszystkim przyszłym bohemistom, że z tym piciem piwa jako obowiązkowym atrybutem bycia bohemistą różnie bywa. Nasz wspólny mistrz, profesor Baluch na przykład, jak się niedawno okazało, cierpi obecnie na jakieś niedomaganie trzustki i piwa pić już nie może.**

JS: Widocznie niewłaściwe piwo pił... albo za mało... (śmiech)

**IK: Najwyraźniej (śmiech). Co Pańskim zdaniem jest powodem tak ogromnej popularności Hrabala w Polsce? Bo nie ulega wątpliwości, że prócz Stanów Zjednoczonych największą poczytnością cieszy się właśnie w Polsce. Myślę, że nawet większą niż w Czechach.**

JS: Pozwolę sobie nie zgodzić się z Panem. Są dwie nacje, które z równym zapamiętaniem hołubią Hrabala. Polska i Węgry. Tylko w tych dwóch krajach wyszło praktycznie wszystko, co Hrabal popełnił jako druki zwarte. Amerykanie tego tyle nie wydali. Co sprawia, że Hrabal jest u nas tak popularny? To temat na dłuższą rozmowę. Ale w skrócie. Po pierwsze fascynacja codziennością, odkrywanie codzienności, która może się okazać cudowną. Zresztą Hrabal wydał kiedyś taką książkę, która nosiła tytuł Każdy den zázrak – Codziennie zdarza się cud. On po prostu kochał życie do utraty tchu i rzeczywiście potrafił z tej codzienności wylawiać te perełki, które były tytułowe w jego pierwszym oficjalnym debiucie, nie mówię teraz o jego pierwszej nieoficjalnej książce, „Hovory lid”. Odnajdywał perełki w miejscach, w których inni pisarze nie potrafili tego dostrzec. Miał niewiarygodny dar rozumienia zwykłe-



Foto: Piotr Kaliński. Klub Lokator, luty 2007

go czeskiego człowieka, miał znakomity słuch, słuch literacki, a do tego był człowiekiem niezwykle wykształconym i odcytanym, prawdziwym erudytą, ale nietuzinkowym, takim, który nawet gdy przytaczał Lao-Tsya czy wielkich filozofów, to nie po to, by popisać się swoją mądrością, ale po to, by pokazać, że to co mówią wielcy tego świata, te olbrzymie umysły, można odnaleźć w historyjkach i losach prostych ludzi. To jest dla mnie kwintesencja jego pisarstwa. Oczywiście trzeba jeszcze wspomnieć o śmiechu, o tym czeskim humorze, przy tej okazji często kojarzono Hrabala z Haszkiem, dość niefortunnie moim zdaniem, choć niewątpliwie coś ich łączy, głównie to bawidulstwo, jak przekłada pąbin Andrzej Czibor-Piotrowski. W odróżnieniu od Haszka, Hrabal potrafił te swoje anegdoty obdarzyć taką subtelną nutą poezji, nie przestając być jednocześnie rubasznym i ostrym, nawet wulgarnym, co mu często zarzucano. W każdym razie to połączenie subtelności i dosadności trafiło na podatny grunt u nas, bo nie było w tym tych zadęć, tromtardacji, boga honoru i ojczyzny i tak dalej...to wszystko złożyło się na to, że zdobył sobie tak olbrzymią popularność. W Polsce nakłady książek Hrabala są obecnie wyższe niż w Czechach... ale to już jest temat na osobną rozmowę, stosunek Czechów do swoich wielkich i stosunek do historii, odrębna zupełnie rzecz.

IV: Chciałbym uzupełnić tę wypowiedź jedną małą uwagą. Prócz wspomnianych Węgier i Polski Hrabal jest również bardzo popularny we Włoszech, a owa międzynarodowa popularność dowodzi faktu, który jest powszechnie znany, ale ja chciałbym go tutaj na nowo podkreślić: im bardziej jest pisarz związany ze swoim własnym narodem, im bardziej narodowe myślenie czy tożsamość narodowa przenikają jego dzieło, tym bardziej jest światowy.

IK: Przypomniała się jedna historia, z lat dziewięćdziesiątych, opowiadająca o tym, jak to Hrabala nękały autobusy pełne hippies ze Stanów Zjednoczonych, którzy chcieli od niego uzyskać autograf i porozmawiać z nim przynajmniej pięć minut. Zdarzyła się taka historia, właśnie w gospodzie Pod Złotym Tygrysem. Hrabal siedział z jakimś tam stryjaszkiem przy piwie, żywo z nim o czymś dyskutując, kiedy nagle spostrzegł, że do lokalu wtoczył się dwumetrowy, rozczochrany, ubrany w jakieś kolorowe fatałaszki hippies, który zaczął chodzić od stołu do stołu, ewidentnie pytając o to, który to Hrabal. Nie zwlekając umówili się z rzeczoną stryjaszką, że to on będzie Bohumilem Hrabalem, a sam pisarz będzie udawał stryjaszka. Zwalisty i brodaty miłośnik zdołał wreszcie przedrzeć się przez knajpę, i kiedy udało mu się ustalić, że Hrabal siedzi właśnie przy tym stole, zapytał się: „Który z panów to Hrabal?”, na co Hrabal z całkowicie niewzruszoną miną wskazał na tego stryjaszka. Zachwycony

amerykański hippies rozmawiał dwie godziny ze stryjaszkiem święcie przekonany, że mówi z wielkim czeskim pisarzem Bohumilem Hrabalem... sam Hrabal siedział z boku i z pobłażliwym uśmiechem popijał piwo, przyglądając się ich rozmowie...

Ivo, wiem, że przygotowałeś tekst, który opowiada o tym, jak w latach dziewięćdziesiątych zorganizowałeś specjalnie dla Hrabala lot balonem. Hrabal opisał potem całe zdarzenie w jednym ze swoich opowiadań...

IV: Zanim przeczytam ten tekst, chciałbym trochę opowiedzieć o mojej przygodzie z balonami. Jak już powiedziałem, w czasach totalitaryzmu unikałem uczestnictwa w życiu kulturalnym, ale coś robić musiałem, wymyśliłem sobie więc, że powinno się odnowić tradycję lotów balonowych. Założyłem Balon Klub Praga i z pomocą polskich instruktorów i techników, właściwie pod okiem polskich fachowców, zbudowałem swój pierwszy balon napędzany gazem. Polski instruktor, Stefan Makne, wyszkolił nas w pilotażu. Jeździliśmy potem często do Łodzi, Warszawy, Białegostoku na zawody balonowe. Bardzo dobrze wspominam Polskę z tamtych lat. Balony napędzane gazem są dużo kosztowniejsze i droższe w utrzymaniu od balonów napędzanych gorącym powietrzem. Mnie jednak udało się na początku lat dziewięćdziesiątych kupić 5 sztuk! Wszystkie miały te same kolory, były niebiesko-żółte, piloci obsługiwali loty w uniformach, jednym słowem wyglądało to bardzo dobrze. I bardzo lubiłem o tym opowiadać w gospodzie. I tam zrodził się pomysł zorganizowania takiego lotu dla Hrabala i gości, którzy siedzieli wtedy z nami w gospodzie. Pomysł został zrealizowany. Piękny był zwłaszcza początek. Hrabalowi przyszło do głowy, że cudownie byłoby wystartować z boiska do piłki nożnej w Senicach, miejscowości sąsiadującej z Kerskiem, gdzie Hrabal miał swój domek. Napisałem list do wójty Senic, aby wyraził zgodę na start z tego boiska. Hrabal zaniósł list osobiście, a wójt odpisał mu w pięknym liście, z którego pochodzi ten sławny cytat: „balony mohou vzlétnout” (balony mogą się wznieść). I taki właśnie tytuł nosi opowiadanie Hrabala o tym pięknym popołudniu...

Chciałbym swoją opowieść zakończyć małym wspomnieniem. Kiedy w gospodzie rozmowa grzęzła na mieliźnie i robiła się duszna atmosfera, ja miałem zawsze stuprocentowo skuteczny sposób na to, jak wprawić Hrabala w dobry humor. Zaczynałem wspominać przedwojenne czeskie komedie i filmy. W jednym z takich filmów, w którym grał również Vlasta Burian, występuje polski hrabia, Kocharowski, który powtarza tam bardzo często jedno zdanie, które stało się słynne i którym chciałbym naszą rozmowę zakończyć: „vyrženo, k denímu porádku!” (załatwione, zgodnie z dziennym grafikiem!).

**Tekst jest zapisem rozmowy która odbyła się w klubie LOKATOR, 3.02.2007 roku.**

Foto: Piotr Kaliński. Klub LOKATOR, luty 2007



# KSIĘGARNIA CZYTELNIA LOKATOR

NAJNOWSZE  
I NAJLEPSZE  
KSIĄŻKI  
WYDAWNICTW:  
CZARNE  
W.A.B.  
POMONA  
MAŁE  
FAART  
HA!ART...



KLUB  
LOKATOR  
UL. KRAKOWSKA 27  
(PIWNICE)

ZAPYTAJ W KSIĘGARNI  
O WIOSENĄ  
PROMOCJĘ





Foto: Gutta / Machina Fotografika. Klub LOKATOR, luty 2007

\* Bartek Solik (ur. 1978). Fotoreporter Kolektywu Fotografów VISA.VIS.PL, nagradzany w konkursach Grand Press Photo, BZ WBK Press Foto, National Geographic. Mieszka w Zakopanem. Dziennikarz Radia Vox.Fm. Jego fotografie z cyklu „Zapomniani Olimpijczycy” oraz „Portrety Małopolski” były prezentowane w Miejscu Fotograficznym Machina Fotografika.

Rozmowa w wersji internetowej  
ukazuje się na [www.swiatobrazu.pl](http://www.swiatobrazu.pl)

# „Mała prosta cyfrówka”

## Z Bartkiem Solikiem fotoreporterem VISA.VIS.PL

rozmawia NIKKO

**Intuicja, świadomość, warsztat. Co jest dla Ciebie z tych trzech składników najważniejsze w pracy fotografa?**

Przede wszystkim intuicja. Ufam przeczuciu i nie potrafię tego uzasadnić.

**Zdjęcia sportowe, portrety, reportaże. W której dziedzinie czujesz się najpewniej?**

W żadnej nie czuje się pewnie. Wszystkie zdjęcia to dla mnie wyzwanie.

**Robione przez Ciebie portrety są bardzo atrakcyjne wizualnie, często poprzez wprowadzenie opisujących postacie przedmiotów. Opona – mechanik, żarówka – elektryk, pszczelarz – pszczółka. Czy od samego początku masz takie formalne założenie przy realizacji Portretów Małopolski?**

Nie mam żadnych formalnych założeń. Kiedy spotykam człowieka, to sobie rozmawiamy, jak mógłbym go sfotografować. Np. listonosza z Kasiny Wielkiej sfotografowałem na zaoranym polu. Położył się na skibach, miał wielką rudosiwą brodę, wyglądał jakby sama głowa rosła w polu. Tak więc nie zawsze pojawiają się przedmioty opisujące postacie.

**Fotograf, dokumentalista Wojtek Wieteska uważa, że obraz powinien być pozbawiony słownego komentarza. Ty często do swoich fotografii dołączasz komentarz, dodatkową historię. Wprowadzasz jakby podwójną narrację – obrazową i słowną. Dlaczego tak robisz?**

Tak dzieje się w przypadku Portretów Małopolski. Za-

łożeniem cyklu było, aby fotografiom towarzyszyła historia bohatera. Jednak np. czarnobiały cykl „Mali Skoczkowie” nie potrzebuje komentarza, bo fotoreportaż sam opowiada historię od belki startowej po radość z wygranej. Kiedy czuję, że warto dołączyć słowa do zdjęć, wtedy to robię.

**Często patrzysz szerokim kątem, kiedyś obiektyw szerokokątny 10 mm, teraz 35 mm, dlaczego aż tak szeroko?**

Kiedyś po prostu podobały mi się takie fotografie, dziś napominany przez kolegów z Kolektywu zawężam kąt.

**Kolektyw Fotografów VISA.VIS.PL, od 2006 roku jesteś jego członkiem – czy w jakiś sposób zmieniło się Twoje podejście do pracy po tym przełomowym momencie?**

Faktem jest, że to przełom. Wdzięczny jestem Łukaszowi Trzciniowskiemu i Przemkowi Krzakiewiczowi, że przyjęli mnie do Kolektywu. Teraz fotografowanie jest dla mnie jeszcze większą przyjemnością, bo razem cieszymy się z dobrych zdjęć i nikt tu na nikogo wilkiem nie patrzy.

**Pracujesz także jako reporter Radia Vox Fm, aparat, mini disc, wszystko to w jednej torbie na twoim ramieniu, czy zdarza Ci się czasem wybrać dźwięk na rzecz obrazu lub obraz na rzecz dźwięku? Jednym słowem, co jest ważniejsze?**

I mikrofon i aparat odgrywają ważną rolę. Zwłaszcza teraz, kiedy fotografię i dźwięk łączę w fotokastach, które niedawno zaprezentował Kolektyw Fotografów VISA.VIS.PL. Podczas pracy zdarza się często, że jedno-

drugiemu przeszkadza - plączą się kable, paski, przewody, ale uczyć się godzić obie rzeczy.

**Dlaczego zająłeś się tematem byłych sportowców, uczestników olimpiad, zapomnianych, nieszczęśliwych, żyjących w trudnych warunkach? Jak pracowałeś nad tym materiałem?**

O biedzie skoczka Adama Krzysztofiaka przeczytałem w gazecie. Pomyślałem, że warto pokazać także takich sportowców, dawniej wielkich, dziś może przegranych. Fotoreportaż powstawał trzy tygodnie, odwiedzałem wszystkich bez zapowiedzi w czasie kiedy w Turynie trwały zimowe igrzyska olimpijskie.

**Fotografujesz od 2002 roku, co takiego się stało, że chwyciłeś za aparat?**

Nie mam historii: „pierwszego zenita dostał w wieku 12 lat”. Kiedy mieszkałem w USA, kupiłem małą prostą cyfrówkę. Wtedy fotografowała przede wszystkim moja żona Patrycja. Kiedy ja „chwyciłem” aparat, omyłkowo wykasowałem wszystkie zdjęcia. Po powrocie do Polski pracowałem w gazecie jako dziennikarz fotografujący, później jako fotoreporter piszący. Stopniowo coraz więcej robiłem zdjęć i w końcu kupiłem lustrzankę cyfrową, która... zepsuła się po pierwszym zdjęciu.

**Co robisz kiedy nie fotografujesz?**

Razem z synem Ksawerym opiekujemy się brzuchem Patrycji, w którym rośnie następny maluszek.

**Jak byłeś dzieckiem to kim chciałeś zostać?**

Taksówkarzem.

Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcięciem, usiąść!



# Cały czas trzeba wszystko odkrywać na nowo

## Rozmowę z Anną Wasilewską\* prowadzi Jacek Olczyk

Po dalekich wypadach na południe Włoch, do Beaujolais, winnic, ostryg i ślimaków, powracamy na chwilę do Francisca Ponge'a (choć tak naprawdę nie przestajemy o nim rozmawiać), bohatera najnowszej „Literatury na Świecie” 9-10/2006.

**Jacek Olczyk: Czy jest szansa, że, podobnie jak to było w przypadku Raymonda Queneau, kolejny monograficzny numer „Literatury na Świecie”, tym razem poświęcony Ponge'owi, zaowocuje w niedługim czasie wydaniem książkowymi tego francuskiego pisarza?**

Anna Wasilewska: Taki jest nasz pomysł, i taki zamysł, aby w pewien sposób inspirować wydawców albo pokazywać, że tu jest wielki pisarz, o którym zupełnie zapomniano, który nie istnieje w świadomości czytelników, bo pokolenia, które znały jeszcze to nazwisko, są już fizycznie nieobecne.

Pomysł numeru zrodził się przy numerze Lacanowskim (3-4/2003), kiedy powstała propozycja pokazania poezji francuskiej z czternastoma poetami, między innymi był wśród nich Ponge. I wtedy przyszedł mi do głowy, że przecież Ponge jest bardzo zaniedbany po polsku, że oprócz tomiku Trznadla sprzed trzydziestu paru lat nie ma nic. Owszem, były rozproszone różne teksty krytyczne i rozmaite jego przekłady tu i tam, w różnych czasopiśmiech. To zresztą jest przytoczone w sążnistym przypisie bardzo dobrego tekstu Tomasz Swobody „5 x P, czyli Przewodnik Po Polskich Przekładach Ponge'a”. Jest to debiut i objawienie, Tomasz Swoboda, który pracowicie pozbierał wszystkie przekłady, które ukazywały się epizodycznie w „Poezji” czy różnych polskich czasopiśmiech w latach 60. i 70., ale fizycznie istniał tylko ten króciutki wybór Jacka Trznadla z 1969 roku. Równocześnie był to już okres, kiedy Ponge we Francji uchodził za klasyka, o czym zresztą marzył. Już wszedł w okres takiej komemoracji, wielkiej celebracji. Okres ten trwał od 1975 do końca jego życia, do 1988 roku, do czasu kiedy Ponge jeździł z jednego uniwersytetu na drugi, przyjmował coraz to większe zaszczyty i ordery i właściwie wyrastał na taki posąg, monument Francuskiej Akademii. Zaczynamy trochę od końca, ale ten numer jest mocno spóźniony i jest taką prezentacją Ponge'a, który został całkowicie zapomniany. Natomiast z tego tekstu Tomasz Swobody wynika, że interesowano się Ponge'em w latach 50., 60. i 70. dosyć mocno i dziś nie ma to już kontynuacji. Stąd powiedziałbym nasza rola, może nie jedyna, ale bardzo ważna, tzn. zapełniać luki w tym, co nie zostało dostatecznie dobrze przeniesione do polszczyzny czy pokazane w polszczyźnie. I wtedy przyszedł mi pomysł, że Francis Ponge jest pisarzem kompletnie nieobecnym, kiedyś pokazanym punktowo i nigdy później.

**Jak on wpisuje się obecnie w panoramę współczesnej literatury francuskiej?**

Jako absolutny klasyk, który doczekał się dwóch potężnych tomów w bibliotece Plejady, czyli to jest taki do-

wód najwyższego uznania, bo nie każdy dostaje się do Plejady. Jest to posagowa, monumentalna pozycja, która jest, no trochę obosieczna ponieważ pisarze, którzy chcieli uchodzić za buntowników, w momencie, kiedy dostają się do Plejady, zamierają w rysach klasyków. Klasyk nie może się równać buntownik.

**Można też przywołać znaną Eliotowską formułę, że klasyk to awangardzista, któremu się udało...**

Tak, jest to bardzo dobra etykieta dla Ponge'a, który jest właściwie zbudowany ze sprzeczności. Powiedziałabym, że sprzeczność jest niejako wpisana strukturalnie w całe jego dzieło. To był awangardowy klasyk, pisarz, który jest antyetyczny we wszystkim, co mówi, i we wszystkim, co pisze. Ponge bardzo krytycznie wyrażał się o poetach, którzy używają pióra do celów krytycznych, jednocześnie sam nie przestawał mnożyć komentarzy i autokomentarzy. Uważał, że poezja powinna być całkowicie wyzbyta z tzw. idei, a jednocześnie nic innego nie robił, właściwie próbował stworzyć kosmogonię, będąc jednocześnie przekonany, że współczesna wiedza o świecie wyklucza jakąkolwiek kosmogonię, która by objęła całość wiedzy o świecie. Stąd zresztą jego fascynacja Lukrecjuszem i fascynacja łacinnikami. I stąd zresztą, przepraszam za dygresję, fascynacja Calvina Ponge'em, Calvina dla którego Ponge był jednym z punktów odniesienia i był jednym z takich prawie mistrzów, gdyż dzieliła ich różnica pokolenia. Fascynowały ich te same rzeczy: opisać świat rzeczy próbując wyzbyć się perspektywy antropocentrycznej, jednocześnie wiedząc, że perspektywa ta jest konieczna. Dopuścić do głosu niemy świat, który nie ma głosu, jednocześnie będąc przekonanym, że tego nie można zrobić. Powiedzieć coś w sposób maksymalnie zobjektywizowany o zewnętrznym świecie, wiedząc, że możemy tylko patrzeć na świat rzeczy jedynie z punktu widzenia człowieka. Co znamienne: zarzucano Ponge'owi obie rzeczy, że albo się tego antropocentryzmu wyzbył, albo nie wyzbył. Natomiast on był tego świadomy i o tym mówił, że nie sposób, pisząc choćby o ślimakach wyzbyć się jakiegoś wartościowania, które właściwie jest człowiekowi.

**Co Ponge'a wyróżnia spośród pozostałych XX-wiecznych poetów francuskich?**

Myszę, że właśnie splot sprzeczności, który jest tak kuszący dla rozmaitych interpretacji, że on jest cały czas w jakiś sposób aktualny. Jean-Marie Gleize, który należy do jego najznakomitszych egzegetów, napisał m.in. monografię o Ponge'u, mówi, że właściwie, że gdyby „Le parti pris des choses” („Po stronie rzeczy”), jego najbardziej znany tom z 1942 roku, który był taki wejściem smoka, gdyby ten tom został wydany w latach 30., wtedy kiedy był pisany, bo Ponge pomieścił tam utwory pisane w latach 20. i 30., to prawdopodobnie zostałby odczytany jednoznacznie jako taka replika i opozycja wobec technik poetyki surrealizmu. Z kolei Camus uznał Ponge'a za par excellence pisarza absurdu, bo sam akurat był w tym paśmie, które wiodło do literatury absurdu. Z kolei co robi Sartre: uznaje go za

pisarza, który jest w pół drogi między fenomenologią a egzystencjalizmem. A potem jest następny okres, czyli Tel Quel, czyli Sollers i Pleynet. Wiadomo Tel Quel założone, w roku 1960, ostania awangarda francuska, uznaje Ponge'a za swojego, ponieważ widzą w nim prekursora z kolei Nouveau Roman oraz wszelkich poszukiwań lingwistycznych, czym sami byli mocno zafascynowani. Czyli właściwie Ponge mógłby przejść przez wszystkie etapy rozwoju myśli i historii literatury francuskiej i z każdego wychodzi w jakiś sposób zwycięsko.

**Sama jego biografia jest pełna sprzeczności, np. lata 30. to dominujący w literaturze francuskiej surrealizm i moment, kiedy wszyscy opuszczają Bretona, a on nagle idzie pod prąd i chce wstąpić do grupy.**

Tak. W nim była jakaś ogromna przekora, od samego początku. To był anarchista i takim pozostał do końca, tzn. burzyć zastane porządki, wszystkie. Widać to po rozwoju jego życia. Urodził się w bardzo zamożnej mieszczańskiej rodzinie protestanckiej w Montpellier, zresztą był z tego bardzo dumny i nawet dorabiał sobie genealogię od starożytnych Greków i Rzymian. Niesamowicie błyskotliwy uczeń liceum, wydawałoby się czeka go wspaniała kariera uniwersytecka, profesorska. Co on robi? Oblewa po raz pierwszy i po raz drugi egzamin z filozofii, mimo że zdaje z fantastycznymi notami maturę. Na egzaminie milczy, potem nie dostaje się na studia, co go w jakiś sposób skazuje na egzystencję zupełnie inną niż by sobie wyobrażał. W gruncie rzeczy się proletaryzuje, wchodzi do wydawnictwa Gallimard, w bardzo podrzędnej roli, później do Hachette i podejmuje pracę bardzo odtwórczą. Stąd się bierze jego akces do partii komunistycznej. (...)

**Wrócimy jednak na chwilę do metod jego pracy. Zaczę od cytatu:**

„Moim celem w „Trois Satires” było coś na kształt wojennego działania, jeżeli mogę się tak wyrazić, ale zacząłem bardzo szybko myśleć – i to faktycznie koresponduje z moim temperamentem – że broń należy przygotowywać starannie i w ukryciu. To znaczy, nie miała to już być, że by tak się wyrazić, szabla czy strzała, chciałem przygotować bombę, coś dużo bardziej skończoności, dużo bardziej spoistego, dużo bardziej sekretne, ale też dużo skuteczniejszego, kiedy już raz wkroczy się do akcji.

**Ot co. Nawet z punktu widzenia samej formy tekstów, miała to być forma bomby, interesowały mnie przygotowania, długie przygotowania bomby, toteż wycofałem się, żeby tym się zająć. Nie uczestniczyłem więc w zewnętrznych akcjach, zamknąłem się i przygotowywałem pocisk”. (Rozmowy Francisca Ponge'a z Philippe'm Sollersem, przeł. Ewa Wieleżyńska, „Literatura na Świecie” 9-10/2006)**

**Nad jaką bombą pracował Ponge?**



Odpowiem tak: w listopadzie 2006 roku wyciągnęłam Michela Deguy na rozmowę o Ponge'u, czyli jak jest Ponge odbierany przez dzisiejszego klasyka poezji francuskiej, a jednocześnie poetę, który ma do niego stosunek krytyczny i stosunek zdystansowany o te trzydzieści lat, a więc perspektywę znacznie poszerzoną. I kiedy próbowałam dopytywać go na wszystkie możliwe sposoby jak to jest z tym Ponge'em, który uważał się za klasyka, ale jednocześnie za poetę awangardy i za wywrotowca („subversif”), bo to było ulubione słowo Ponge'a, wywołało to niezwykłą irytację Deguy. I ta irytacja pojawia się i w moich namolnych pytaniach i jego zirytowanych odpowiedziach, kiedy on nie może w żaden sposób zrozumieć dlaczego Ponge miał się i dlaczego można by go uznawać za wywrotowca, który w cichości tego pokoiku szykuje jakąś bombę. Mówi: nie, nie ma żadnego wywrotowca, jest dążenie do klasycyzmu, jest dążenie poprzez pracę nad językiem, poprzez pracę nad w miarę zobiektywizowanym opisem rzeczy, chęć powrotu do wielkiej retoryki. Stąd ten Malherbe, ta jego książka pisana w latach 50. a wydrukowana w 1969 roku, która nazywa się „Pour un Malherbe” („Na rzecz Malherbe'a”) – jest krótki fragment w numerze – i jest to właściwie coś w rodzaju sztuki poetyckiej i jakby testament w takich nużących reliteracjach, bo Ponge znany był z tego, że nigdy nie wyrzucał swoich przemyśleń do kolejnych utworów, zachowywał wszystkie bruliony i wszystkie etapy pośrednie. Wszystko to zresztą znalazło się w Plejadzie. To była część jego poetyki, nie ma rzeczy doskonałych i rzeczy dokończonych, jest fragment, rzecz niedokończona i nieukończona i to się składa na dzieło, i to jest równie pełnoprawne jak rzecz dokończona. W związku z tym nawet drobne utwory poetyckie (nb. bardzo nie lubił słów „poeta” i „poetyckie”) rozrastały się później do całej księgi, taki był przypadek „Mydła” czy „Łąki”. Otóż w „Pour un Malherbe” buduje mu pomnik, uznając go właściwie za takiego klasyka literatury francuskiej, absolutny szczyt języka francuskiego i to w okresie, kiedy literatura francuska pozwoliła sobie na wyemancypowanie się z tendencji europejskich do baroku, czyli do włoskiego concetto, hiszpańskiego gongoryzmu i właśnie powrotu do prostoty. Oczywiście ta prostota jest niesłychanie skomplikowana, i u Malherbe'a, i u Ponge'a...

**Język jest bardzo analityczny, wręcz przejrzysty...**

... a jednocześnie podminowany i pogłębiony znajomością retoryki. Powrót do Malherbe'a, jest jednocześnie powrotem do retoryki. Nie retoryki w znaczeniu potocznym, czyli takiej retoryki, która spłaszcza i kompletnie banalizuje wypowiedź, tylko retoryki klasycznej, czyli topologii, znajomości technik wypowiedzi, znajomości wszystkich tropów, czyli tego co znamy z poetyki. I Ponge mówi, że aby być pisarzem naprawdę wywrotowym, czyli takim, który nie pozwala językowi zastępnąć w zastanych wzorcach, zastanych strukturach językowych czy poetyckich, należy doskonale znać techniki i doskonale znać retorykę. I to jest właśnie ten taki wytrych, którym on ciągle rozmontowuje poezję, bo uważa, że poezja nie może sobie pozwolić na to, żeby stwarzać taką iluzję poetycką, liryczną. On tego nie znosi, on nie znosi zwierzenia, taniego liryzmu, romantyzmu, właściwie, jeśli prześledzić to, czego on nie znosi, to okazuje się, że on nie znosi całej historii literatury. On wydobywa Malherbe'a jako taki wierzchołek poezji, jako synonim poety idealnego, czyli poety totalnego. Nie w znaczeniu takim, jak Rimbaud, czyli istnieje tylko poezja, nie. Poezja dla Ponge'a to próba ogarnięcia rzeczywistości we wszystkich jej aspektach, i politycznych, i moralnych, i wypowiedzi językowych, jako absolutnie coś doskonałego. I Deguy o tym mówi z wielką irytacją: nie ma czegoś takiego jak wywrotowość u Ponge'a, z perspektywy dwudziestu, trzydziestu lat nie można tak o nim mówić. Można mówić o Ponge'u, który chce wykonać krok wstecz,

krok wielkiego powrotu, nawiązać do tradycji, do wielkiej klasyki, do wielkiej retoryki.

Fundament, to było drugie ulubione słowo, obok wywrotowości, rozumiał pod nim próbę ufundowania nowej retoryki, która bazuje na starej retoryce po to, żeby w jakiś sposób opisać i zdemontować świat. Ponge wiedział, że nie da się stworzyć nowej kosmogonii tak jak mógł stworzyć kosmogonię Lukrecjusz, bo dzisiejsza wiedza o świecie wzbogacona o nowe odkrycia nauki uniemożliwia to. Świat jawi się jako coś tak strasznie skomplikowanego, że wszystkie dawne narzędzia wypadają z ręki, geometria euklidesowa zawodzi wobec współczesnych osiągnięć fizyki. Świat jest coraz bardziej nieprzejrzyisty, mimo że mamy coraz bardziej wyuzdane narzędzia do jego poznania. Ufundować nową retorykę, a jednocześnie retorykę, która pozwoli za każdym razem wytrącać język z kolein z raz już utartych zwrotów, czegoś zastanego, czegoś zastygłego, czegoś, co by było skamieliną. Świat jest w ruchu, w związku z tym retoryka też powinna być w ruchu. Właściwie cały czas trzeba wszystko odkrywać na nowo.

**Ale zarazem nie był w swoich poszukiwaniach nowej retoryki osamotniony, gdyż lata 50. i 60. to próba odnowienia literatury francuskiej pod względem formalnym. Z jednej strony nouveau roman, zwrócenie się ku technice, regułom, następnie Tel Quel, a z drugiej strony Oulipo – czyli powrót do retoryki w pełnym tego słowa znaczeniu.**

No tak, przygoda z Tel Quel jest bardzo szczególna. Ponge był już właściwie bardzo dojrzałym człowiekiem, miał 60 lat, ale jednocześnie w jakiś sposób byli sobie nawzajem potrzebni, mieli różne punkty stykowe, chwile takiej konwergencji i później dywergencji. Skończyło się, jak wiadomo, potworną awanturą, zresztą mówi o tym Ponge w nagraniach z Sollersem, których połowa znalazła się w numerze „Literatury na Świecie”.

**Dużym zaskoczeniem dla mnie była informacja, że na rok przed śmiercią Ponge zostaje patafizykiem...**

Czyli właściwie jest to jedna wieka wygrana: być człowiekiem pełnym sprzeczności, to jednocześnie zapewnić sobie nieustającą atrakcyjność dla różnych formacji: od surrealizmu po literaturę absurdu, fenomenologię, egzystencjalizm, różne fascynacje strukturalistyczne, nouveau roman, Tel Quel. Właściwie Ponge jest zawsze u siebie, być może dlatego został uznany za wielkiego klasyka. Chociaż Michel Deguy mówi, że dzisiaj Ponge przechodzi fazę czyszcza. Ale widocznie tak musi być.

**Sporo tutaj mówimy o polityce, a tego wszystkiego nie ma w jego utworach...**

Tak, to jest zdumiewające, że był to człowiek bardzo polityczny, bardzo gniewny i to zresztą wychodzi w dialogach z Phillipem Sollersem, który nie zadaje mu pytań w sposób niewinny, bo to jest rok 1967. Philippe Sollers jest zdumiewająco nasycony taką dykcją i retoryką wojującą i dzisiaj dla nas śmieszną, ale tam się cały czas pojawia przecież „burżuazyjny przekaz”, „burżuazyjne wartości” i Ponge to kupuje, a jednocześnie w jego twórczości nie ma sprymitywizowanej wizji.

**Chciałbym jeszcze wrócić do metod tworzenia tej poezji, właściwie poezji, która jest pisana jak proza.**

Tak, Ponge się bardzo irytował i bardzo nie lubił tej atrybucji: poeta. Do końca twierdził, że nie jest poetą, ponieważ poezję wyobrażał on sobie jako emanację taniego liryzmu, subiektywizmu, to, czego absolutnie nie znosił. Ja, mnie, moje, stany ducha, emocje – to go zupełnie mierziło. On od samego początku, i tu był bardzo konsekwentny, próbował budować i zbudował swoją poetykę na opozycji – o czym mówi też Michel Deguy. „Le parti pris des choses” („Po stronie

rzeczy”) i „Le contenu des mots” („Zawartość słów”) – czyli cały czas ta opozycja: z jednej strony rzeczy, z drugiej słowa. W jaki sposób przedstawić świat rzeczy używając słów, i jednocześnie nie ulegając iluzji, że język może być narzędziem, które ten świat pozwoli wykreować. Ten świat istnieje niezależnie od siebie, świat rzeczy istnieje obiektywnie (stąd fenomenologia przyznaje się do Ponge'a). Co w takiej sytuacji może zrobić pisarz? Może starać się stworzyć świat homologiczny w języku, czyli znaleźć jakieś ekwiwalenty, zbudować coś, co będzie w jakiś sposób odpowiadało rzeczywistości poprzez samą strukturę, poprzez samą budowę i warstwę dźwiękową. Zresztą uważał, że literatura ma tę wyższość nad innymi sztukami, niezależnie czy to będzie muzyka, malarstwo, iż jednocześnie operuje i dźwiękiem, i obrazem, i jeszcze naddatkiem semantycznym, czyli ma coś, czego nie mają inne sztuki. Uważał, że jest to absolutne maksimum tego, co można wypowiedzieć i jest to próba zbudowania ekwiwalentów. Stąd często stosowane formy graficzne czy sonoryczne, próbujące być w jakiś sposób nadsłownictwem, bo przecież nie są tożsame z rzeczą, ale istnieje cały czas to napięcie między rzeczą a środkiem wyrazu.



**Zdjęcia ze spotkania dostępne na stronie [www.lokator.pointblue.com.pl](http://www.lokator.pointblue.com.pl)**

**\*Anna Wasilewska - tłumaczka języka francuskiego i włoskiego, m.in. Alberta Moravii, Italo Calvino, Jeana Echenoz. Od wielu lat pracuje w redakcji „Literatury na Świecie” na łamach której bardzo często publikuje artykuły i przekłady.**

# Historia pewnej szczypawki

Stefan Themerson

Pan Stanisław Szczerba uśmiechał się. Ale pan Jan Jelonek westchnął głęboko i spytał:

- Spotkałeś go jeszcze kiedy, tego krawca, stolarza, konduktora?

- Nie - powiedział pan Karol. - Ale wiem, w jaki sposób można go odnaleźć, jak do niego trafić.

- To ciekawe!

- Jeśli jesteś na Nowym Świecie - mówił Karol - będziesz musiał pójść w stronę Placu Trzech Krzyży, a potem Książęcą w dół, nad Wisłę. Tam zawrócisz i będziesz szedł brzegiem, aż miniesz most na Nowym Zjeździe. Potem skręcisz w uliczkę, która nazywa się Bolesć, pójdziesz Bugajem, Kamiennymi Schodkami wydasz się na Brzozową, a stamtąd na Stare Miasto.

- Ale - zawołał Szczerba - po co miałbym tyle chodzić, kiedy z Nowego Świata na Stare Miasto prowadzi prosta droga przez Krakowskie Przedmieście.

- Masz bardzo mocne poczucie rzeczywistości - westchnął Karol - ale jest ono jakieś niepełne, ograniczone, za mało rzeczy obejmujące. Wyrzuciłeś na pewno człowieka z żelaznymi narzędziami ze swego świata pojęć. A teraz chcesz odnaleźć go, krążąc tylko po swoich ulicach.

- Ja wiem - powiedział dr. Wał - ten stolarz jest nieuklidesowy.

Jelonek syknął:

- Cicho! Dajcie mu mówić. Więc co dalej?

- Nie wchodźcie od razu z Brzozowej na Rynek Starego Miasta. Przemknijcie się chyłkiem na Kanonię, tam znajdziecie wąskie przejście za kościołem, przedostańcie się na Świętojańską i stamtąd dopiero śmiało pomaszzerujecie na Rynek. Z Rynku ruszycie Piekarską, przejście przez Podwałę, dojdziecie do rogu Kapitulnej i Miodowej. Ale to trzeba sobie notować, bo zapomnicie.

- Nie wiem, czy masz poczucie rzeczywistości, ale masz poczucie humoru - przerwał Szczerba.

Pan Karol nie odpowiedział. Wymieniał w dalszym ciągu nazwy ulic tak, jakby dyktował je stenografowi:

- Plac Krasieńskich. Nowiniarska. Franciszkańska. Róg Bonifratskiej i Sapieżyńskiej. Potem gdzie bądź. Potem Żelazna i Lindleya. Rozejrzyjcie się uważnie. Na płocie będzie szyld z napisem: stolarz. A naprzeciw wielki gmach z szarej cegły. Urzędy tam państwowe są jakieś.

- Jakież! - wykrzyknął Szczerba. - Jakież!

Pan Karol spojrzał zdziwiony.

- Przecież my tam pracujemy, w tym gmachu z szarej cegły. I Szczerba, i Jelonek, i ja. Jesteśmy tam codziennie od ósmej rano do piątej, a ty nam mówisz teraz, że naprzeciwko mieszka twój Stolarz przez duże S.

- Więc mówisz - powiedział Jelonek - że jeżeli do tego samego miejsca, które znamy jak własną kieszeń, dojdziemy tak skomplikowaną drogą, to spotkamy twojego człowieka z żelaznymi narzędziami?

- Tak - Karol skinął głową, zdziwiony, że można jeszcze pytać o to - przedtem jednak spotkacie czarnowłosą, rozkochaną kobietę. Stanie ona przed furtką w płocie i nie będzie chciała was wpuścić. „Idźcie sobie, panowie - zawoła - idźcie gdzie indziej. Czego wy chcecie od tego starego dumia, co by całe życie jedną głupią deskę heblował. Jazda! Jazda! Nie macie tu nic do roboty!”

Wtedy przystąpiacie do niej i powiecie: „Matko Ut, Królowo Ognia! Matko Ut, której ojcem jest twarda stal, a matką krzemień; Matko Ut, której przodkami są drzewa wiązowe, na szczytach góry Czangaj-Czan i Bur-

czatu-Czan rosące, a których jasność, gdy płoną, dosięga nieba i oświetla ziemię; Matko Ut, przynosimy Ci złotą oliwę i białego barana z złotą głową w ofierze...”

- To wydaje mi się najtrudniejsze - zawołał Jelonek. - Podejść do jakiejś kobiety na ulicy i mówić głupstwa. Przecież może nas wziąć za wariatów albo pijanych...

- Możecie więc zrobić co innego - powiedział Karol - wszystko jedno co zresztą. Możecie na przykład stanąć na jezdni i zdjąć buty. Albo usiąść na ziemi. Albo przejść przez kawałek rury kanalizacyjnej. Dużo ich tam leży teraz obok waszego gmachu.

- Tak, tak, słusznie - rzekł Szczerba, uradowany, że wreszcie może potaknąć - zrobili podkop pod naszym budynkiem, budują kolektor.

- Mówisz, że wystarczy przejść przez rurę kanalizacyjną - spytał Władysław Wał, jakby teraz dopiero usłyszał.

W tej chwili przez okno wfrunęła szczypawka. Kołowała chwilę w górze, nad głowami, a potem siadła spokojnie na serwecie.

- Wiosna! Szczypawka! - westchnął pogardliwie Jelonek.

- Czy to na pewno jest szczypawka? - spytał Władysław Wał.

- Chyba!

- Wygląda mi raczej na chrząszcza.

- Chrząszcza? Chrząszcza brzmi w trzcinie.

- Jakiś powiedział!

- Chrząszcza brzmi w trzcinie.

- Mówi się: chrząszcza grzmi w trzcinie.

- Grzmi? - Wał roześmiał się szyderczo.

- Na pewno mówi się „grzmi” - upierał się Jelonek - pamiętam to jeszcze z wstępnej klasy.

- Komiczne!

- Sprawdźmy w słowniku - zaproponował Szczerba. - Bez względu na to, co znajdziecie w słowniku - zapalał się Jelonek - twierdząc, że mówi się „grzmi”.

- Przepraszam - rzekł pan Karol - co to znaczy właściwie: mówi się?

Pan Jelonek zbladł. Ponieważ w tej chwili, nagle, całe dotychczasowe życie pana Jelonka skondensowało się w jakiś kształt, który za ledwie powstał, już rozpadał się, i mknął, i uciekał mknąc. Panu Jelonkowi wydało się, że ów kształt umykający pociąga go za sobą w mroczną przepaść, która znajduje się nie gdzieś po z a, a chyba w własnych, obcości na ten czas wypełnionych, panajelonkowych piersiach. Przecież od najwcześniejszej młodości, przedtem jeszcze, właśnie że przedtem jeszcze, nim po raz pierwszy usłyszał we wstępnej klasie owo zdanie o chrząszczu, pan Jelonek, mały Jaś Jelonek wiedział, że chrząszcza grzmi. Grzmi było prawdą. Prawdą, która nie powinna nigdy okazać się fałszem.

- Widzicie oto - powiedział dr. Wał - że przekonania młodości są najtrwalsze.

Bładość na twarzy pana Jelonka ustąpiła czerwieni. Ponieważ czerwień jest kolorem rewolucji. A pan Jelonek poczuł, że teraz właśnie powinien rzucić na stół od dawien dawna ukrywanego przed samym sobą tryumfowego asa, że teraz właśnie powinien postawić kropkę „.” i rozpocząć nowe życie. Musicie bowiem państwo wiedzieć, że pan Jelonek nie jest tym panem Jelonkiem, którym by chciał być.

„Teraz właśnie - pomyślał pan Jelonek - postawię kropkę! A może nawet urwę w środku zdania.”

Niestety owa niepotrzebna dodatkowa refleksja o urwaniu w środku zdania podziałała na przygotowa-

ny do wybuchu umysł pana Jelonka jak piorunochron, po którym spływa ku ziemi nadmiar nagromadzonej elektryczności i sprawiła, że kolor twarzy pana Jelonka cofnął się od czerwieni do normalnej, łagodnej różowości.

Zajęci śledzeniem uczuć pana Jelonka, opuściliśmy na chwilę kilka teren, na którym odbywał się bieg myśli naszego przyjaciela Karola, i dlatego nie możemy dać o tym dokładnego sprawozdania. A musiały tam być gonitwy i lowy przecudne, obfitujące w przeróżnego rodzaju skojarzenia i przeskok, gdyż zakończyło je postawione przez pana Karola niezwykle pytanie:

- Który z panów odważy się rozgnieść tę szczypawkę? Stanisław Szczerba zapiął na wszystkie guziki swą dwurzędową marynarkę i ujął nożyk do owoców.

- Nie, nie tak - powstrzymał go pan Karol - rozgnieść! Wał i Jelonek nachylił się nad stołem. Doktor chwycił blaszaną popielniczkę, Jelonek - talerzyk do cukru.

- Ach, nie o to przecież chodzi - westchnął pan Karol, a był wyraz rozpaczy w jego poszarzałych oczach. - Rozgnieść. Między palcami.

Trzej panowie mieli już odsunąć ostentacyjnie swe kawy, ale w twarzy, w uśmiechu pana Karola rysowało się tyle przedziwnej poczciwości, że poprzestali na subtelnym wzruszeniu ramion.

- Najłatwiej powinno to przyjść Szczerbe i jego trzem czy czterem czwórkom - powiedział Wał.

Pan Karol pocierał kciukiem palek wskazujący, tak jakby ugniał kulkę z miękiszku chleba.

- Chciałem powiedzieć tylko tyle - zaczął - że zawsze bardziej pokrzywdzony jest ten, który bije. I jeśli wzdrgamy się, w pewnych niekaranych przez prawo wypadkach, przed zabiciem, czynimy to ze względu na nas samych. Jeśli chodzi o stworzenia niższe ewolucyjnie, to na pewno...

- Każda przemiana dokonać się musi kosztem krwi - krzyknął nienaturalnym głosem pan Jelonek i zawiśnął rozczapierzonymi palcami nad szczypawką. Ale pan Karol uprzedził go. Podsunął szybko papierową serwetkę pod owada i wyniósł go jak w kołysce spod jelonkowych szponów.

- Szczypawki by już nie było - rzekł - a ty miałbyś zapaskudzone palce. Zawsze bardziej pokrzywdzony jest ten, który bije.

- Czy i wtedy - spytał drżącym z podniecenia głosem Jelonek - gdy wybije bitemu oko?

- Oko? - powtórzył pan Karol i podszedł do okna, aby położyć szczypawkę na parapecie.

Frunęła.

- Oko? - powtórzył raz jeszcze pan Karol, wracając do stolika. - Nad tym trzeba się jeszcze będzie zastanowić. Wybaczone mi, moi mili, ale muszę już uciekać.

Przyjemnie było patrzeć na sympatyczną postać pana Karola, dziarsko kroczącego do drzwi.

W międzyczasie panowie Szczerba, Jelonek i Wał spojrzeli w okno i zamienili z sobą trzy dyskretne mądre uśmiechy, świadczące bardzo pochlebnie o tym, że na prywatny użytek panowie Szczerba, Jelonek i Wał mają dobrą wolę rozumienia wszystkiego, co ludzkie.

A godzi się uprzedzić, że panowie Szczerba, Jelonek i Wał ujrzeni za oknem nie szczypawkę, której rola w tej opowieści nie dobiegła jeszcze zresztą końca.

GONITWA

Bardzo trudno będzie gonitwę pana Karola za damą, którą spostrzeżliśmy przez okno kawiarni Excelsior, opisać tak, aby czytelnik nie miał możliwości strywializo-



wania całej tej historii przez brutalne sprowadzenie jej na teren seksualny. I jeszcze raz należy złożyć panu Szczerbie, Jelonkowi i Walowi pełne zachwyty uznania za taktowne i rozumne uśmiechy, jakie wymienili między sobą; świadczyły one, że na prywatny użytek panowie Szczerba, Jelonek i Wał doskonale orientowali się, iż dla niczego innego, jak tylko dla oczu duszy pana Karola punktem zaczepienia były owe nogi, nogi piękne, wspaniale kroczące, nogi, powiedziałbym: tętniące, za którymi wysoko wezbraną falą kotłował się eter.

I cóż wobec nich znaczyła duszna kawiarnia Excelsior i oryginalne rozmowy o szczypawce? Pod jedwabną powłoką pończoch była natura, był maj, była wiosna. Srebrno-złote lany i szeroka równina: łąka i rozkołysane niebo.

Intuicja nie zwiadła panów Szczerby, Jelonka i Wala. Myśli Karola, śpieszącego przez ulice za nieznaną, obracały się w najszczytniejszych, najpiękniejszych stręfach ducha. Blade chmury powolne unosiły się ponad nimi. Znowu chmury. Po niezliczonych metamorfozach - skropleniu, drażeniu skał, nasyceniu głodnych korzeni, parowaniu rozgrzanymi liśćmi, szalonych jazdach wichrem nad ziemią i morzem, znowu chmury - te same, które głąkały Olimp. I, być może, myśli pana Karola pozostałyby w tak wysokich regionach, gdyby wywołujący je rytm nie został nagle zakłócony.

Drasnęło coś nagle któryś z nerwów pani Felicji Małkinia i prawa jej łydka skurczyła się raptownie pod jedwabną pończochą. Trzy kroki przeszła pani Felicja kulejąc, potem stuknęła mocno wysokim obcasem w trotuar, wreszcie zatrzymała się przed wystawą sklepu i uniósłszy lewą nogę, próbowała rozetrzeć nią podrażnione miejsce prawej. W tej właśnie chwili myśli pana Karola ześlizgnęły się z krawędzi rozpiętego między chmurami chodnika i rozpoczęły pracę nad rozwiązaniem intrygującego zagadnienia:

- Czy była to ta sama szczypawka, którą wyrzucił przez okno Excelsioru?

Jakże trudno jest Europejczykowi stwierdzić tożsamość Chińczyka. O ileż trudniejszym zadaniem utożsamić szczypawkę. A zagadnienie identyczności nie było w tym wypadku sprawą błahą. Bynajmniej! Ponieważ, jeśli była to szczypawka „postronna”; wtrącona między nich dwoje przez kogoś czy przez coś trzeciego - wszystko zaczęłoby się dopiero teraz. Jeśli jednak panią Felicję Małkinię ugryzła w łydkę ta sama szczypawka,

którą Karol, ratując przed szponami pana Jelonka, wyrzucił za okno Excelsioru, rola pana Karola nabierze innego, a ogromnego znaczenia.

I oto przed myślami pana Karola, które nagle ześlizgnęły się z rozpiętego między chmurami chodnika, zjawiał się znak ognisty i, zygzakowatą błyskawicą uniósłszy w górę zagadnienie: „czy była to ta sama szczypawka?”, umieścić je wysoko, w sferze, która bardziej jest boska niż ludzka.

Pani Felicja Małkinia weszła do bramy domu nr 68. Gdzieś, w drzewie heblowanym i zbitym w kształt budki z papierosami, geniusz śmierci zastukał trzy razy. Przed zdumionymi oczyma pana Karola ukazał się niewyraźny, rozproszony cień szczypawki. Z każdą chwilą stawał się jednak cień ów mocniejszy, kontury zarysowywały się ostro, plama nabierała koloru. Zbliżał się koniec. A wtedy oczyma duszy ujrzał pan Karol szczypawkę, w śmiertelnej trwodze biegnącą na swój jakiś własny wschód, do kraju pachnącego słońca. W swym szczypawczym ręku trzymała paszport, który ją przeniósł przez dwie góry uderzające o siebie, i szła dalej, hen, w stronę falującego nieba, na kraj świata, gdzie było mieszkanie Monabozhy. Między mieszkaniem Monabozhy a krajem słońca i księżycy była szeroka rozpadlina. Kiedy przy dźwięku stukającego nieba przybyła do niej, niebo zniżyło się i ciężarem swym wzbudziło tak silny wicher, że trudno było utrzymać się na nogach. Słońce przechodziło tuż nad jej głową. Niebo spuszczało się gwałtownie, ale podnosiło się spokojnie i stopniowo... Wtedy usłyszała głos, wołający ku niej w ciemności: - Skaczże! Skaczże! Niebo się spuszcza! - spojrzała w górę i ujrzała spuszczone niebo. Zdrętwiała ze strachu i skoczyła tak słabo, że dosięgła drugiego brzegu tylko rękami. W tej samej chwili niebo ze strasznym rykiem uderzyło silnie o ziemię i wepchnęło ją do strasznego czarnego otworu.

Pan Karol przymknął oczy, a z ust jego wydobywał się szep i pomruk niewiadomy, tajemniczy - susurus necromanticus. Bowiem pod powiekami pana Karola anioł śmierci Azrael rozpostarł skrzydła nad idealną, białą, z rękawiczki wydobytą dłonią, która ruchem pewnym, nieskrępowanym niczym patrzyeniem, biegła za uciekającą w górę ku pachnącemu słońcu szczypawką. Szepliwe zaklęcia pana Karola napelniły domy hukami i jękami, które wylewały się tysiącem okien na ulice; czarnoksiężskie pomruki sprowadziły na niebo chmury czarne, ołowiane, brzemienne bluzgającą w okna kro-

cią czerwonych ogoniastych błyskawic. W tej chwili, w bramie domu nr 68, biała dziewczyna, rozgniatająca gołymi palcami szczypawkę, wyrywa z niej wraz ostre cążki, aby szczypawcza dusza, która wrogim duchem się stanie, nie mogła już tu, na ziemi, nikomu krzywdy wyrządzić.

Pani Felicja Małkinia wyszła z bramy domu nr 68, mocno zatraskując za sobą drzwi. A potem naciągając zaczęła na dłoń białą rękawiczkę - palec po palcu.

- Niedobrze jest trzaskać drzwiami - szepnął pan Karol - można bowiem przyciąć umykającą z ciała duszę.

I w poczciwości swojej odemknęła bramę.

Wtedy, na ulicy, oszalałe samochody i tramwaje zaczęły trąbić i dzwonić i huczeć, w wielkim pędzie jeździły w jedną i drugą stronę, aby tylko wygonić z miasta nastraszonego ducha szczypawki.

Pan Karol wszedł do bramy domu nr 68, stanął nad mautkimi zwłoczkami, wyciągnął z kieszeni bilet tramwajowy i zadośćuczynił sobie, kładąc go na śladach szczypawki.

„Pióro” nr 2 [nie rozkolportowane do września 1939], źródła do historii awangardy, opr. Tadeusz Klak, Archiwum Literackie, t. XXIV, Wrocław 1981

4 marca 2007 (niedziela)

16:00 – Themersonowie między mediami – sesja o poezji

semantycznej Stefana Themersona

Udział biorą: Magdalena Bednarek, Jerzy Franczak, Justyna Jaworska, Agnieszka Karpowicz, Lidia Koszkało, Łukasz Rotunda, Anna Taszycka, Bogdan Zalewski

Prowadzi: Piotr Marecki

Bunkier Sztuki, pl. Szczepański 3a

21:00 – Wernisaż ilustracji Franciszki Themerson z książki

„Music” [patron wystawy ATELIER DESIGN]

Lokator, ul. Krakowska 27

10 marca 2007 (sobota)

g. 19.00 – „THEMERSONOWIE, obraz i słowo.

Spotkanie z twórczością Franciszki i Stefana Themersonów”,

Spotkanie z Małgorzatą Sady i Marcinem Giżyckim,

poprowadzi Jacek Olczyk.

Mrówki w Czekoladzie - „poezja semantyczna”. numer 66

godz. 21.00 – KlubFilmowyLokator: Filmy animowane Stefana Themersona

## Projekt Desdemona

Na przekór wszystkim tym, którzy uważają, iż młodzi ludzie w Polsce nie mają ani pomysłów, ani siły przebiccia, powstaje właśnie w Krakowie projekt artystyczny „Desdemona”. W Centrum projektu znajduje się polska adaptacja sztuki amerykańskiej laureatki nagrody Pulitzera, Pauli Vogel, o tytule „Desdemona”, której premiera odbędzie się 31 marca na scenie Teatru Miejskiego Łaźnia Nowa. Całe przedsięwzięcie jest jednak czymś więcej... Pracują nad nim ludzie w różnym wieku i o różnych zainteresowaniach, których łączy sama idea projektu - naszym zamierzeniem jest trafienie do publiczności, która niekoniecznie jest oswojona z regularnym oglądaniem repertuaru scen teatralnych. Jednym z założeń jest dotarcie do bywalców klubów i pubów, którzy wolą spędzać swój wolny czas podczas dobrej imprezy niż obserwując poczynania aktorów na scenie. Zamierzamy udowodnić, że te dwie rzeczy nie są bynajmniej rzeczami wzajemnie się wykluczającymi. W klubie „Lokator” w dniach 30-31 marca oraz 12-13 kwietnia odbędą się warsztaty dramatyczne prowadzone przez prof. Małgorzatę Sugierę oraz dr Małgorzatę Radkiewicz, obracające się wokół tematu "przepisywania Szekspira" zarówno w materii dramatycznej, jak i filmowej.

Inspiracją jest dramat „Desdemona”. Jego akcja zasadza się na pomysle dowcipnego i prowokującego odczytania Szekspirowskiego „Otella” – podczas gdy w oryginalnym dramacie świat należał do męskich bohaterów, a kobiety pełniły funkcję niemalże instrumentalną (nikt nie pytał o uczucia Desdemony, bo „prawdziwy” dramat

targał duszą Otella), u Vogel akcenty są odwrócone. Żaden z męskich bohaterów oryginału nie pojawia się na scenie, a akcja należy w całości do – znanych już z Szekspira – trzech kobiet: Desdemony (żony Otella), Emilii (służki Desdemony) i Bianki (lokalnej prostytutki). Podstawową prowokacją Vogel jest zaprzeczenie niewinności Desdemony: widz dowiadyuje się, że owszem: zdradzała męża, i to niejednokrotnie.

Daria



Obrazki Wiedemanna - „Kluski”



## O PANU JAŚKU

Pewnego razu był sobie pan Jasiek... Był cały zrobiony z dużych puchatych poduszek, miał oczy z guzików i duże uśmiechnięte usta... Bo tak wyglądał, specjalnie, bo nie chciał, żeby się go dzieci bały. Musiał dla nich wyglądać miło. Praca pana Jaśka była – to bardzo smutne. Przychodził do różnych panów i pań, którym się ciężko żyło i którzy zamierzali odebrać sobie życie, siadał przy nich i przytulał ich do siebie, a równocześnie cofał się w czasie, bo potrafił cofać się w czasie, więc cofał się do czasów, kiedy ci panowie i panie byli małymi chłopczykami i dziewczynkami, a jego zadanie polegało na tym, żeby... jego zadanie polegało na tym, żeby dzieci same się pozabijały, bo oczywiście to było straszne, ale dzięki temu przynajmniej mogły uniknąć trudów późniejszego życia. Na tym polegało jego zajęcie. Na przykład była taka jedna kobieta, która miała bardzo ciężkie życie. Ludzie ją źle traktowali, a znów ona była za bardzo uległa i zawsze tylko: „zrobię, co mi każą”, aż wreszcie miała już wszystkiego dosyć i już wetknęła głowę do piekarnika i właśnie zamierzała odkręcić gaz, kiedy przyszedł do niej pan Jasiek, usiadł

sobie przy niej i powiedział, żeby chwilę poczekała. Cofnął się w czasie i spotkał ją, kiedy była małą dziewczynką, a była bardzo grzeczną dziewczynką, szczęśliwą dziewczynką. Pan Jasiek podszedł do niej ze swoim szerokim uśmiechem i wyjaśnił jej całą sytuację, a ona się roześmiała i powiedziała, że dobrze. Na to on jej zaproponował, żeby wetknęła głowę do plastikowej torebki bez żadnych dziurek. Dziewczynka się na to zgodziła, bo uznała, że to będzie wyglądało jak nieszczęśliwy wypadek, uśmiechnęła się, założyła sobie na głowę plastikową torebkę, obwiązała sobie szyję. I tyle. Zrobiła to, co jej kazano. Było jeszcze wiele takich przypadków z udziałem pana Jaśka, które wyglądały jak nieszczęśliwe wypadki... Koniec pana Jaśka był bardzo smutny, bo pan Jasiek miał spowodować śmierć tych różnych dzieci. On tego nie lubi robić, bo w gruncie rzeczy jest dobry, ma dobre serce, więc jest mu bardzo bardzo przykro i smutno. Całe życie to robił. No, więc idzie tam. Ma kanister z benzyną... No, więc idzie tam. A tam jest śliczny strumyczek, i jest wierzbka płacząca, i jest także przyczepa kampingowa a on to miejsce pamięta, pamięta, że są tam także pod drzewem różne zabawki dla dzieci... Jest samochodzik i różne inne drobiazgi. Więc pan Jasiek siadł sobie koło zabawek i czeka, czeka i czeka, aż tu nagle usłyszał, że ktoś wychodzi z przyczepy kampingowej i dziecięcy głosik powiedział: „mamusiu, wyjdę tylko trochę się pobawić”. Dziecko zbliżyło się do naszego pana Jaśka i wtedy się okazało, że to wcale nie jest dziecko, tylko Jasieczek. Jasieczek powiedział naszemu panu Jaśkowi dzień dobry, a pan Jasiek mu grzecznie odpowiedział i zaczęli się bawić zabawkami... Samochodzikiem i tymi różnymi innymi rzeczami. No i sobie rozmawiali i tak sobie rozmawiali, aż pan Jasiek opowiedział Jasieczkowi wszystko o swoim ciężkim życiu i w ogóle, a ten Jasieczek jest taki miły i wyrozumiały i chce tylko pomóc ludziom i wszystko rozumie. Więc Jasieczek wziął kanister z benzyną i cały się nią oblał, wziął zapalnik a wtedy pan Jasiek mu podziękował, a Jasieczek – że nie ma za co dziękować i zapalił zapalnik i spalił się na śmierć, jego uśmiechnięte usteczka dosłownie się roz-

topiły a pan Jasiek po prostu się rozplynął. Rozplynął się, jak gdyby nigdy nie istniał. W powietrzu się rozplynął. W niebo. Gdziekolwiek.

„Pan Jasiek” Martin McDonagh  
 Reżyseria: Bogdan Hussakowski  
 Asystent reżysera: Maria Kwiecień  
 Reżyseria światła: Marek Kutnik  
 Konsultacja scenograficzna: Łukasz Błaziejewski  
 Opracowanie muzyczne: Maciej Skuratowicz  
 Obsada: Juliusz Chrzastowski, Dominik Nowak, Andrzej Rozmus, Piotr Sieklucki.

spektakle: 12, 13, 23, 24, 25 marca  
 godzina 19:15  
 Teatr Nowy, ul. Gazowa 21



Foto: Dariusz Jacek Piasecki, Teatr Nowy, Kraków 2007

## Krótki leksmokon

*Mały hommage dla Stanisława Lema*

- Smoking – król smoków.
- Smokanie – wabienie smoka.
- Smoczenie nocne – efekt snów o smokach.
- Smoczywistość – rzeczywistość, w której smoki uchodzą za banał.
- Smoczystość – stopień krewkości i krzepy smoka.
- Niesmok – dyskomfort wzbudzany brakiem smoka.
- Smok-nonsens – próba całowania smoka.
- Zasmoczenie – stan ducha w obliczu liczebności smoków na jednostkę miary.
- „Ty smokasynu!” – zwrot pod adresem smoka głupiego jak but.
- Przedsmok – intuicyjne poczucie zbliżania się smoka.
- Wysmok – zaskakujące zachowanie smoka.
- Z dosmoku – styl akcji zaczepnej smoków.
- Smoczeniec – okaz smoka o nietypowych popędach.
- Smokator – przymusowy mieszkaniec smoka.
- Smokojowy – posługacz smoków domowych.
- Smokonautyka – podróże w kosmosach.
- Smokowyzymałka – urządzenie do spuszczenia ze smoków frakcji ciekłej.
- Smoczewica – roślina nawożona smoczym łajnem.
- Smokka – kawa o stężeniu smoczey juchy.
- Smokieć – część anatomii smoka.
- Trójsmok – smok trójgłowy.
- Smok wzwyż – smocza erekcja.
- Usmok – miejsce, gdzie smok się nagle kończy.
- Smokaina – alkaloid z krwi smoka.
- Smocz – płynna wydzielina smoka.
- Policzek smokowi powszechnemu – manifest poetycki błędnego rycerstwa.
- Potęga smoku – smok do potęgi.
- Smokołyk – finał znajomości ze smokiem.

Jan Gondowicz

## LISTY Z AMSTERDAMU

### Przygody, tułaczka i światowe życie duchowego wiwisektora – Juffertje van Neus(talgie)

Nederland is gezellig. Określenie to nad wyraz holenderskie, jako że nietranslacyjne. Problem jego przekładu wynika, jak mi nie mam, z faktu, iż posiada ono tak wiele podobnych znaczeń, że trudno się ostatecznie na coś zdecydować. *Gezelligheid* konotuje m.in. przytulność, serdeczność, towarzyskość, przyjazność, rodzinną atmosferę. Używa się go w określeniu do wszystkiego (coś na wzór ang. cool). Jego specyfika jest wg mnie wynikiem powszechności rzeczy małych na tym europejskim odcinku. Ujmując rzecz geograficznie, tj. gruntownie, Holandia nie jest pokaznym krajem (nieco ponad 40 tys.km<sup>2</sup>); przemierzenie jej wzdłuż lub wszerz zajmuje nie więcej niż cztery godziny, a jej monotonny krajobraz nie nastrocza niesamowitości. Typowe domy są zaskakująco niewielkie; największy dom w Amsterdamie, usytuowany przy kanale Singel, ma szerokość zaledwie 99 centymetrów. Co jest jednak najbardziej urzekające, to mania zdrobnień, niesłychana w żadnym innym znanym mi języku. W sytuacjach nieformalnych końcówka *-(t)je* dodawana jest wszędzie tam, gdzie istnieje po temu okazja. W efekcie, wszystko wydaje się tu być na wyciągnięcie ręki, dobrze znane, swoje, własne. Najwyraźniej jednak Holendrzy nie cierpią na kompleks niższości – małość nie jest im zresztą wrodzona, należą w końcu do najwyższej europejskiej nacji – wprost przeciwnie, doskonale ją sobie przyswoili. Ten mały, przytulny kraj sprawia, że każdy czuje się tu jak u siebie, i to – być może – jest właśnie najkrótsza definicja *gezelligheid*.

Tekst rozwija lingwistyczne wątki Lemowskiej opowieści *Wyprawa trzecia, czyli Smoki prawdomoibięstwa z Cyberiady (1965)*



# Eksplozjonizm

Jan Gondowicz

Źródła zjawisk bywają skromne jak źródła Amazonki, które w przeciwieństwie do szeroko rozlanego jej nurtu łatwo ponoć przeskoczyć. Skłania to do namysłu nad źródłem sztuki nowoczesnej. Ujawnienie go wyjaśniłoby mnogość nurtów, wyczerpujących w pewnej mierze wachlarz zbiorowej inwencji, jedną intuicją, która na mocy relacji metaforycznej objawiłaby całą zawartą w sobie potencjalność.

Metoda patafizyczna każe szukać takiego punktu w roku 1896 z tej racji, iż miała wówczas miejsce przełomowa premiera dramatu fundatora patafizyki, Alfreda Jarry'ego, *Ubu Król*. Powód dobry jak każdy inny, a niezawodnie ograniczający sferę dociekań. Graniczne to zdarzenie wypadło jednak, jak wiadomo, 10 grudnia, wobec czego, zgodnie z patafizyczną logiką, musiało zapewne wywołać skutek wcześniej. Daty symboliczne nigdy nie są przypadkowe, albowiem nic, co symboliczne, nie może być przypadkowe, prawda?

Jak się zatem należało spodziewać, patafizyczna implikacja kierunków, ruchów i kluczowych pojęć nowej sztuki ujawniła się 85 dni wcześniej, w kompletnie – co również logiczne – przeciwnym wobec Paryża punkcie globu. Świadectwo ogłosił James S. Moy z Texas University w Austin na łamach „Theatre Quarterly” N° 30/1978. Mianowicie 15 września 1896 roku, o godzinie 17.00 czasu miejscowego, cztery mile na północ od Waco w Teksasie, przy kamieniu milowym nr 83 I, zderzyły się czołowo dwa pociągi, pędzące z szybkością 60 mil na godzinę i ważące razem 1750 ton. Nie miały obsługi ani pasażerów, w każdym razie żywych, bowiem kabiny maszyn i okna wagonów zdobiły stosownie przyrodziane manekiny. Spektakl ten zaaranżował dyrektor linii kolejowej Missouri, Kansas & Texas Railroads o godnym uwagi nazwisku William G. Crush. Intencją jego była swoiście pojęta reklama zagrożonej plajtą firmy. Według wstępnych kalkulacji czysty zysk z samych biletów wynieść miał sto tysięcy dolarów.

Przygotowania podjęto z amerykańskim rozmachem, reklamując imprezę w prasie, plakatami na dworcach i albumem litografii, przedstawiających wymownie przebieg wydarzenia, nim jeszcze do niego doszło. Miejsce przyszłej kolizji skupiło szereg jarmarcznych atrakcji, straganów z pamiątkami, jadłem i napitkiem. Nie sposób nie wspomnieć, iż w godnej podziwu dalekowzroczności wykopano nawet latryny. Orkiestry przegrywały od rana z czterech estrad. Zagrody z obu stron toru łączyła umajona i ozdobiona flagami drewniana konstrukcja o funkcjach mostu i bramy tryumfalnej, na której miejsce kosztowało 60 dolarów. W narożach przygotowano podia dla dwóch telegrafistów, spike-rów z tubami oraz ciżby reporterów i fotografów. Na wzniesionej w centrum wieży ulokowano kamerę kinetograficzną Edisona.

Zderzenie zaplanowano na czwartą po południu, by widzów nie raziło słońce. Już do dziesiątej sprzedano ponad dziesięć tysięcy biletów, lecz chętnych nadal zwoziły za darmo pociągi M.K & T. R. i linie omnibusowe. O czwartej liczba widzów przekroczyła zaplanowane dwadzieścia pięć tysięcy, a wciąż przybywali następni. Zdecydowano się więc przesunąć spektakl o godzinę.

Wreszcie zniecierpliwiona oczekiwaniem gawieź – ponad trzydzieści tysięcy ludzi – sforsowała bariery, oblegając tor na odległość dziesięciu jardów. Widząc, na co się zanosi, z rewolwerem w dłoni przybiegł po planie Crush, grożąc odwołaniem widowiska. Blefował, bo pociągi były już w drodze. Zaczęto się cofać, lecz za moment eksplozja kotłów przeorała tłum gradem żeliwnych odłamków nierzadko półmetrowej średnicy. Para i rozżarzone węgle poraziły najbliższe

rzędy widzów, który w ucieczce obalili trybunę honorową. Wprost w pryzmie płonących szczątków runął pełen gapiów most. Po czym pokrytą popiołem horde majestatycznie spowiła ogromna markiza.

Dziwnym trafem zginęła tylko jedna osoba, choć parzeniu i urazom uległo ponad tysiąc. Sędzia okręgowy James Hutton stracił prawą rękę, fotograf z Waco, J.C. Deane – oko. Stojący w sercu pandemonium Crush cudem nie poniósł żadnej szkody. Gdy frenetycznie opróżnił w niebo bębenek rewolweru, tłuszcza, trając rannych, runęła zbierać pamiątki, które odtąd przez lata figurowały w katalogach rozmaitych aukcji. Z porzuconego budulca pobudowano osadę o nazwie Crush, której mieszkańcy do dziś żartocznym wzrokiem odprowadzają przejeżdżające pociągi.

Krwawe żniwo skłoniło część sprawozdawców do ostrej krytyki. „Dallas Morning News” z 16 września 1896 zaliczył wydarzenie do „najbardziej bezdusznych i bezwstydnich nadużyć wolności obywatelskiej, jakie zna historia”. Ogólnie jednak recenzje dyszały entuzjazmem. „Efekt był nie do opisanie. Brak słów, jakimi można by przelać na papier to, czego byliśmy świadkami i zachowaliśmy w pamięci. Widok ten pozostanie dla wielu obsesyjnym koszmarem: już zawsze byle gwizd lokomotywy wzbudzi w nich febryczne drżenie...”. Wszystkim nieszałonowym przedsięwzięciom artystycznym życzyć należy podobnych ocen.

Rzecz jasna, dziś dopiero dostrzec i pojąć można w pełni artystyczne prekursorstwo eksplozjonizmu Crusha. Uderza w nim choćby radykalna kontestacja idei postępu, zarówno w sensie literalnym, jak przenośnym, jako że nic nie jest dalsze od ruchu naprzód, bez względu na kierunek, jak zderzające się pociągi. W ramach tendencji ogólnych podkreślić warto wyjście z happeningiem w przestrzeń publiczną, tendencję dekonstruktywistyczną, wymiar technologiczny, zaangażowanie znacznych środków finansowych, medialną otoczkę zdarzenia, niekontrolowany i spontaniczny przebieg, wykorzystanie nieklasycznych materiałów twórczych, ulotny i zasadniczo niepowtarzalny charakter, a wreszcie bezpośredni kontakt widzów z aktem kreacji.

Kolizja pod Waco zapowiada bezpośrednio *air art*, wszystko bowiem wyleciało w powietrze, *action painting* z uwagi na plamy krwi, *antyszukę*, gdyż doszło do rozerwania na sztuki, *architekturę kinetyczną*, jaką utworzyło rumowisko po katastrofie, *behaviorial art*, bo zachowanie widzów uległo gruntownej zmianie, *empakietaż*, jako że skotlowany (dosłownie) tłum pokryła markiza, *environment*, bo zaaranżowana została nowa przestrzeń, *junk art* z racji zbierania pamiątek, *living art*, albowiem zatarciu uległy granice między sztuką, życiem, a nawet nie-życiem, *performance* dzięki ponadplanowej roli, jaką odegrał reżyser, *sztukę akcji*, gdyż fundatorem było towarzystwo akcyjne, *sztukę kinetyczną* z uwagi na liczne kręcące się kółka, *sztukę komunikacyjną*, gdyż miała przebieg na drodze publicznej, *sztukę samodestrukcyjną* z uwagi na rozmiar zniszczeń, *sztukę ziemi* wobec trwałych przekształceń, jakim poddany został teren, *teatr śmierci* z racji obecności manekinów oraz *żywe rzeźby* za przyczyną pokrycia uczestników popiołem. W ujęciu metaforycznym trudno zaś o doskonalszy wyraz jakże nam współczesnego ciśnienia żądz i pragnień, które tak oto w akcie twórczym objęły chaos świata ocalającą afirmacją.

**Tekst jest fragmentem pierwszego w historii literatury polskiej seminarium `Patafizycznego które wygłosił Jan Gondowicz 24 stycznia 2007 roku w klubie Lokator.**

# O<sub>K</sub> R u<sup>S</sup>zk<sub>i</sub> POCIĄG

Do przedziału pierwszej klasy pociągu relacji Warszawa-Kraków wpada podpity menel, taszczyący trzy wypchane walizy. Mierzy wzrokiem zajęte półki, na nasze bagaże rzuca swoje. Nie, nie swoje, tylko obserwującego go z peronu gościa, kropla w kropkę podobnego do granego przez Petera Lorre Caira z filmowej adaptacji „Sokoła maltańskiego” Johna Hustona z 1941 roku. Ta sama tusza, chód i półuśmiech, łączący cynizm z dobroduszością. Nadstawiam ucha, masując nadepniętą przez menela stopę. Marzę, że między nową a dawną stolicą rozegra się kryminalny dramat. Nie liczę na historię z także pociągowego „Mrocznego przedmiotu pożądania” Bunuela. Chęć detektywistycznej zagadki, którą rozwiążę. Siedzimy, w przegrzanym przedziale, ja obok Caira, naprzeciw niego jego towarzysza podobnej tuszy i z lewą ręką w gipsie. Cairo łypie mi do zeszytu. Na wszelki wypadek bazgrzę niewyraźnie, ale pewnie i tak by nie zrozumiał, bo rozmawiają po angielsku. Choć kontrolerowi powiedział „dziękuję” z dobrym akcentem. Czasem porozumiewają się na migi. Może z uprzejmości dla tkwiących z nosami w gazetach pasażerów? W każdym razie zwiększa to ich tajemniczość. Nigdy nie miałam okazji z tak bliska obserwować, jak trudno być grubasem. Ile wysiłku sprawia najmniejszy ruch, jakim wyzwaniem jest leżąca na podłodze gazeta. Zamierają nad nią półsychyleni, na tyle, na ile pozwalają im brzuchy. Niemal stykają się głowami, niczym ludzie-sandwiche z „Paryż śpi” René Claira, gdy – zakleszczeni opierającymi się o siebie reklamami pasty do butów – nie mogą podnieść leżącego na chodniku banknotu. Wreszcie ona chwyta gazetę czubkami palców, unosi kilka kartek, pozostałe rozsypują się po podłodze. Zebranie ich wymaga nadludzkiego wysiłku. Patrzy bezradnie na Caira, a że ten nie reaguje, mówi wreszcie: – Ty podnieś. Jej brzuch powiększa przytwardzona doń bandażem ręka w gipsie. Cairo podnosi, sapie, potem na długo zamiera ze zwieszoną głową. Gazeta zsuwa mu się z kolan. Czy są handlarzami? Stąd walizy i rozmowy o pieniądzach – po godzinie drogi to jedyny temat, jaki poruszyli. Przemysłnikami? Otaczająca ich aura tajemnicy wynika chyba nie tylko z podobieństwem do bohatera „Sokoła” (ona oczywiście nie przypomina Brigid O’Shaughnessy). Na walizach mają metki lotnicze, ale raczej prosto z lotniska nie jada, bo machali Warszawie na pożegnanie. Robią wrażenie zmęczonych raczej tuszą niż podróżą. Jak, swoją drogą, dadzą sobie radę w Krakowie ze ściąganiem waliz z półki? Reszta pasażerów nie wygląda na skorych do pomocy. Ona czasem na chwilę przysypia, zaraz jednak otwiera oczy i z niepokojem mu się przygląda. Kim są?

**Agnieszka Taborska**

atelier design  
ul. Dajwór 14, 31-052 Kraków  
tel. (12) 421 43 92, fax: 421 90 06, tel. kom. 501 41 84 94  
e-mail: biuro@atelier.info.pl  
www.atelier.info.pl

atelier design

# Lokator [marzec2007]

Przed czytaniem, rozcięciem, przed rozcięciem, usiąść!

**01.03.2007 (czwartek), g. 18.00**

Instytut Książki zaprasza na 2. Festiwal Poezji Spotkanie z Marcinem Cecko, Jarosławem Lipszycem i Piotrem Macierzyńskim Prowadzą: Tomasz Charnas i Igor Stokfiszewski

**03.03.2007 (sobota), g. 19.00**

Instytut Książki zaprasza na 2. Festiwal Poezji „Poetycki Portret”, spotkanie z Maciejem Gierszewskim, Izą Smolarek, Marcinem Włodarskim Prowadzi: Tomasz Charnas

**04.03.2007 (niedziela) g. 21.00**

Galeria Książki klubu LOKATOR prezentuje Wernisaż ilustracji Franciszki Themerson z książki „Music”

**06.03.2007 (wtorek), g. 19.00**

„Machina Fotografika” zaprasza: „Na Obcasach i Bez” Fotografie Beaty Długosz: „Granice Oczyszczoności” Fotoakcja „Portrety Kobiet”, Biernacka&Makara Klub Filmowy Lokator, g. 21.00 „25 lat po...” reż. Anna Pietruszka, [portrety irańskich intelektualistek opowiadających o zmianach jakie zaszły w życiu kobiet irańskich po rewolucji.]

**08.03.2007 (czwartek), g. 18.30**

Dom Norymberski zaprasza: Wystawa prac RUTH ZADEK Skąd – Dokąd? Zapomnieć – pamiętać! Wykład Ulricha Flechtnera: Kaspar Hauser- Norymberski podrzutek – dziecko Europy – przypadek kryminalny.

**10.03.2007 (sobota), g. 19.00**

Klub Lokator zaprasza: „THEMERSONOWIE - obraz i słowo. Rozmowa o twórczości Franciszki i Stefana Themersonów”, spotkanie z Małgorzatą Sady i Marcinem Giżyckim poprowadzi Jacek Olczyk Mrówki w Czekoladzie - „poezja semantyczna”. numer 66 godz. 21.00 KlubFilmowyLokator: Filmy Themersonów

**13.03.2007 (wtorek), g. 19.00**

Miejsce Fotograficzne „Machina Fotografika” „Fotogramy czyli co to jest fotografia bezkamerowa” Wykład Beaty Długosz w ramach cyklu „Technika czyli pierwszy krok do magii”

**15.03.2007 (czwartek), g. 20.00**

Wydawnictwo CZARNE zaprasza na promocję książki „Śmiech za drewnianą przegrodą” oraz na spotkanie z autorem Jani Virk prowadzenie Tatjana Jamnik

**15.03.2007 (czwartek),  
LOKATOR ON THE TOUR  
info: strona 3 Mrówkojada**

**17.03.2007 (sobota), g. 19.00**

K O N C E R T  
info: www.lokator.pointblue.com.pl

**20.03.2007 (wtorek), g. 19.00**

Miejsce Fotograficzne „Machina Fotografika” Wernisaż fotografii Sylwii Biernackiej, „W drodze do miasta Nikko”

**24.03.2007 (sobota), g. 19.00**

Klub LOKATOR zaprasza na: Seminarium PATAFIZYCZNE Jana i Joanny Gondowiczów

**26.03.2007 (poniedziałek), g. 19.00**

Czeskie Rozmowy o pieklach utracnych i dziennikach pokładowych z dwoma czeskimi poetami Jaromírem Tytlem oraz Vítom Kremlíčką rozmawiać będą Karolina Majchrzak i Piotr Gierowski .

**27.03.2007 (wtorek), g. 19.00**

Miejsce Fotograficzne „Machina Fotografika” Sophie Calle - portret fotografii Prowadzenie Nikko

**30.03.2007 (piątek), g. 16.00 [Czytelnia]**

Warsztaty w klubie LOKATOR: „Przepisywanie Szekspira” - prowadzenie prof. M. Sugiera

**31.03.2007 (sobota), g. 12.00 [Czytelnia]**

Warsztaty w klubie LOKATOR: „Przepisywanie Szekspira” - prowadzenie Małgorzata Radkiewicz

**klub LOKATOR**  
kawiarnia, galeria, pub, księgarnia, czytelnia,  
miejsce Fotograficzne, kino  
zaprasza codziennie od 9.00 do 1.00  
Kraków, ul. Krakowska 27  
lokator@pointblue.com.pl

## KFLokator [piwnice]

**05.03.2007 (poniedziałek), g. 19.00**

KlubFilmowyLokator - ORYGINALNE PONIEDZIAŁKI Kino Skandynawskie - „Pieśni z drugiego Piętra”, (Sanger fran andra vaningen) reż. Roy Andersson [film z napisami angielskimi] prelekacja: Andreas Jonsson

**07.03.2007 (środa), g. 19.00**

KlubFilmowyLokator: NIEZALEŻNI TWÓRCY KINA AMERYKAŃSKIEGO Jim Sharman - „Rocky Horror Pictures Show” (1975) Scenariusz: Richard O'Brien, Jim Sharman, Zdjęcia: Peter Suschitzky, prowadzenie: Marta Ambrosiewicz

**11.03.2007 (niedziela), g. 20.00**

Dom Norymberski zaprasza [sala kinowa] „Zagadka Kaspara Hausera”, Niemcy, 1974, 110 min. reżyseria: Werner Herzog, muzyka: Florian Fricke, Tomaso Albinoni, Wolfgang Amadeus Mozart, Johann Pachelbel, Orlando di Lassomcy obsada: Bruno S., Walter Ladenqast, Brigitte Mira

**12.03.2007 (poniedziałek), g. 19.00**

KlubFilmowyLokator - ORYGINALNE PONIEDZIAŁKI Wschód - Zachód, (Est - Ouest 1999) produkcja: Francja , Hiszpania , Rosja , Ukraina , Bułgaria reżyseria Régis Wargnier Filmowe Koło Rosji

**13.03.2007 (wtorek), g. 20.00**

Dom Norymberski zaprasza [sala kinowa] „Morderstwo Kaspara Hausera”, Niemcy, 45 min.- reżyseria: Gabriele Wengler kamera: Hans Jakobi, Volker Tittel , muzyka: Martin Stock, obsada: Florian Stetter

**Księgarnia i Czytelnia klubu LOKATOR  
zaprasza od poniedziałku do soboty  
od 10.00 do 21.00**

**14.03.2007 (środa), g. 19.00**

KlubFilmowyLokator: NIEZALEŻNI TWÓRCY KINA AMERYKAŃSKIEGO Larry Clark - „Ken Park” (2002) scenariusz: Larry Clark, Harmony Korine obsada: James Ransone, Tiffany Limos... prowadzenie: Marta Ambrosiewicz

**15.03.2007 (czwartek), g. 19.00**

DYSKUSYJNY KLUB FILMOZNAWCÓW UJ „Lśnienie”, reżyseria: Stanley Kubrick, scenariusz: Stanley Kubrick , Diane Johnson, zdjęcia: John Alcott, muzyka: Béla Bartók, Krzysztof Penderecki, Prelekacja: Żaneta Jamrozik

**19.03.2007 (poniedziałek), g. 19.00**

KlubFilmowyLokator - ORYGINALNE PONIEDZIAŁKI „Bumer”, (Bummer) (2003) produkcja: Rosja, reżyseria Pietr Buslow Filmowe Koło Rosji

**20.03.2007 (wtorek), g. 19.00**

KlubFilmowyLokator - W STARYM KINIE cykl: Angst, Anxieté, America „Invasion of the Body Snatchers” (1956) USA, reż.: Don Siegel prelekacja: Denis McEvoy

**21.03.2007 (środa), g. 19.00**

KlubFilmowyLokator: NIEZALEŻNI TWÓRCY KINA AMERYKAŃSKIEGO Edward D. Wood - „Plan nr 9 z kosmosu” (Plan 9 from Outer Space, 1959) Scenariusz: Edward D. Wood Jr. Zdjęcia: William C. Thompson Montaż: Edward D. Wood Jr. prowadzenie: Marta Ambrosiewicz

**22.03.2007 (czwartek), g. 19.00**

KlubFilmowyLokator - ANIMACJA Jonna Pankiewicz i Marcin Kaproń - „Aniakteam” spotkanie poprowadzi Mariusz Frukacz

**26.03.2007 (poniedziałek), g. 19.00**

KlubFilmowyLokator - ORYGINALNE PONIEDZIAŁKI Czeskie Kino: g. 21.00 „Niosący światło” (Vaclav Svankmajer), Czechy 2005 prelekacja Iwona Łyko

**27.03.2007 (wtorek), g. 19.00**

KlubFilmowyLokator - W STARYM KINIE cykl: Angst, Anxieté, America „The Naked Kiss” (1964) USA, reż.: Sam Fuller prelekacja: Denis McEvoy

**28.03.2007 (środa), g. 19.00**

KlubFilmowyLokator: NIEZALEŻNI TWÓRCY KINA AMERYKAŃSKIEGO Gus van Sant - „Drugstore Cowboy” (1989) scenariusz: Gus Van Sant , Daniel Yost zdjęcia: Robert D. Yeoman, muzyka: Elliot Goldenthal, na podstawie powieści Jamesa Fogle'a prowadzenie: Marta Ambrosiewicz

**29.03.2007 (czwartek), g. 19.00**

DYSKUSYJNY KLUB FILMOZNAWCÓW UJ „Dekameron”, reżyseria: Pier Paolo Pasolini, scenariusz Pier Paolo Pasolini, muzyka Ennio Morricone na podstawie: „Dekameronu” Giovanni Boccaccio prowadzenie Iwona Łyko